

PARADA



ROK II

NIEDZIELA, 9 LIPCA 1944 R.
SUNDAY, JULY 9, 1944

Nr 14 (33)

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 6 d., w Afryce Wsch. 6 d., w Włoszech 12 lirów



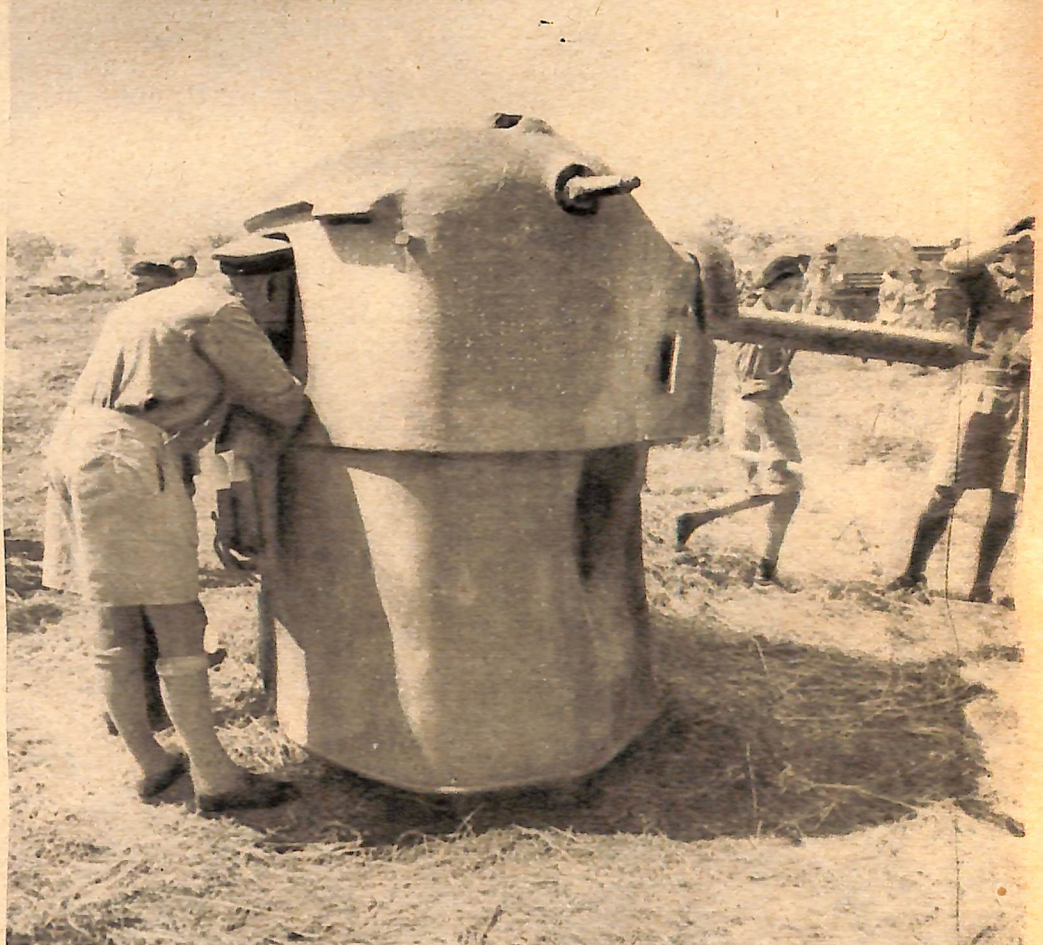
Faustpatrone. Niemiecki typ granatu p-panc.



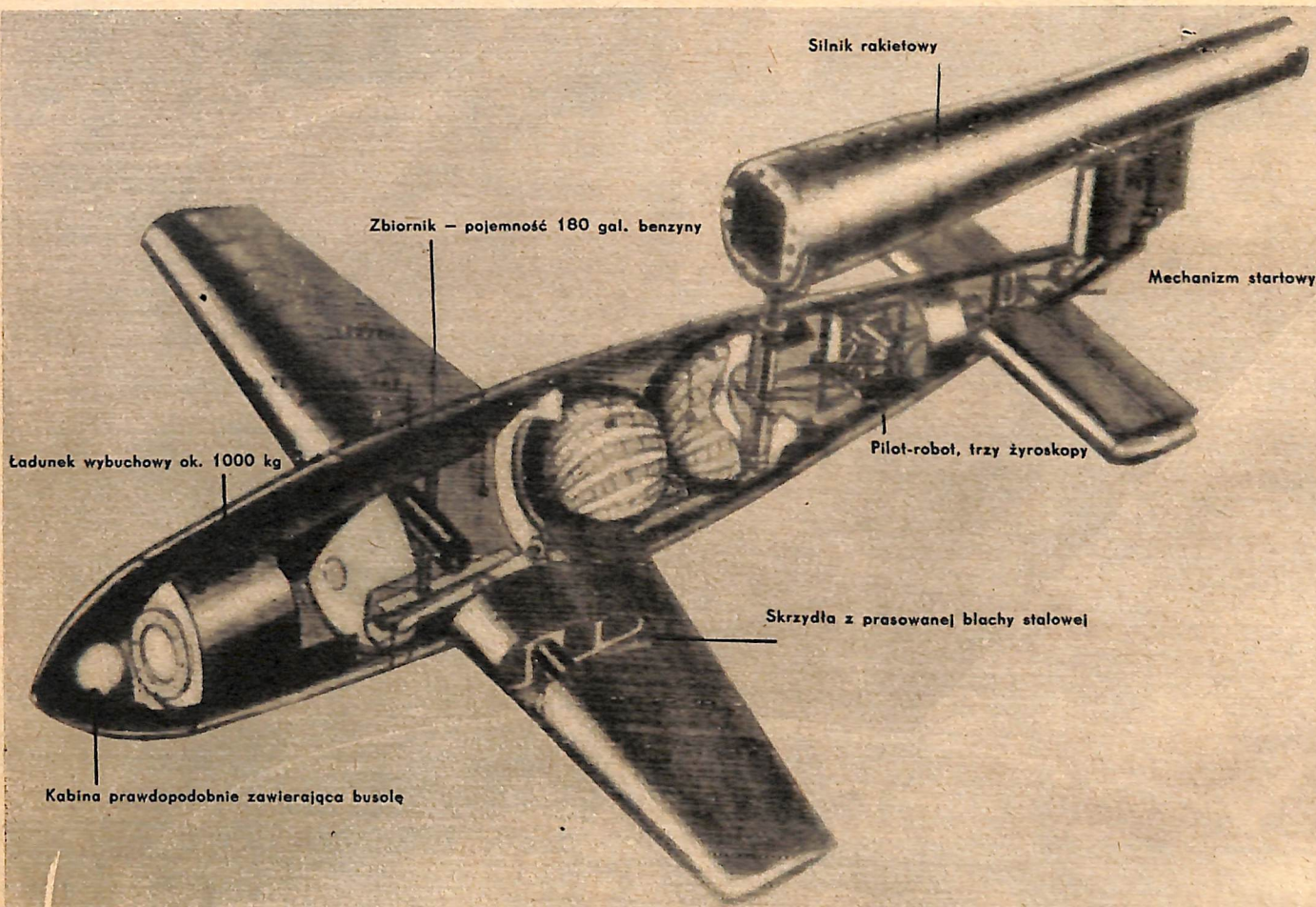
Ofenrohr. Jest to typ broni p-panc., w którą wyposażone są specjalne oddziały piechoty niemieckiej



Oto fragment tzw. „muru atlantyckiego”, który miał uniemożliwić inwazję



Ruchomy, stalowy „pillbox”. Dowódca VIII Armii gen. Leese ogląda ruchomy „pillbox” jakiego Niemcy używają w walkach we Włoszech



Samolot-robot — ostatnia kreacja intuicji Hitlera

Tajemnicze bronie

Po miniaturowych czołgach z napędem elektrycznym, które zaprodukowali Niemcy na froncie włoskim, przyszła kolej na „gwóźdź sezonu” — samolot-robot. Gdy z głośników radiostacji niemieckich padł przerażony okrzyk: „nadchodzą, nadchodzą...”, Hitler rzucił na szalę swój ostatni atut — tajemniczą broń, która wedle zapowiedzi propagandy Goebbelsa miała przemienić w popioły i zgliszcza miasta brytyjskie. W rzeczywistości jest to mały samolotik o rozpiętości skrzydeł 4,8 m i długości 7,5 m, o napędzie rakietowym i zasięgu nie przekraczającym 150 km. Ładunek wybuchowy równa się 1000 kg bombie. Leci na ślepo i stanowi idealny cel dla myśliwców i artylerii p-łot. Szybkość samolotu-roboty nie przekracza 300 mil na godzinę. Szkody spowodowane są minimalne, a po zbombardowaniu baz w Pas de Calais przez RAF — samolot-robot przeszedł do historii kuriozów tej wojny.

Dwadzieścia jeden dni we Francji

Zaskoczenie i dezorientacja przeciwnika – Tylko 50 samolotów niemieckich w akcji – Gdzie jest Herman Goering? – „Wał Atlantycki” nie był reklamą – Cherbourg, port Zwycięstwa

(U. S. Office of War Information — artykuł napisany specjalnie dla „Parady”)

Cherbourg został zdobyty, a tym samym osiągnięto pierwsze wielkie zwycięstwo w kampanii w Normandii. Jest to w pełnym tych słów znaczeniu przełom przez tzw. „wał atlantycki” i umocnienie pozycji Sprzymierzonych na ziemi francuskiej.

Wejście wojsk amerykańskich do tego wielkiego miasta i portu w niespełna trzy tygodnie od dnia rozpoczęcia inwazji na kontynent — świadczy, że Niemcy znów zostali nie tylko zbombardowani, lecz i pobici — pobici wręcz. Podobnie jak w poprzednich kampaniach w Afryce Północnej i na Sycylii — zaskoczenie było całkowite. Szybka i precyzyjna ofensywa wojsk angielskich i kanadyjskich doprowadziła niebawem do przecięcia głównej linii kolejowej, łączącej Cherbourg z Paryżem. Brytyjczycy odparli wszystkie kontrataki niemieckie i związały swą akcją bardzo poważne siły nieprzyjaciela. Te operacje umożliwiły Amerykanom uderzenie na zachód z prawego skrzydła, co w rezultacie przyniosło odcięcie półwyspu i zdobycie samego Cherbourga.

W dniu inwazji wschód słońca przypadał na godzinę 5.47, a główne nasilenie przypływu na godzinę 10.33. Jako termin rozpoczęcia historycznej akcji wybrano okres pomiędzy godziną 6 a 8.25.

Głównodowodzący siłami morskimi Sprzymierzonych admirał Sir Bertram Ramsay liczył, że straty w marynarce Sprzymierzonych wyniosą około 10 proc. jednostek zaangażowanych w akcji. W rzeczywistości straty były tak minimalne, że trudno je nawet procentowo określić. Niemal wszystkie okręty powróciły po wykonaniu zadania do swych baz.

Na brzegach Normandii ożył powtórnie historyczny konflikt wojenny. Generał Sir Bernard Law Montgomery, cromwellowski zdobywca Afryki Północnej był tym, który dowodził całością wojsk brytyjskich. Spotkał on tu znów marszałka Rommla, „starego lisa”, którego pobił w Afryce. Partia: Montgomery—Rommel jest znów w toku.

Lądując na wybrzeżu w pasie długości około 90 mil Sprzymierzeni zagrozili militarnie dwu portom: Cherbourg i Le Havre. Równocześnie wojska spadochronowe lądowały wokół Caen. Inne oddziały piechoty lotniczej i wojsk spadochronowych lądowały koło Rouen. W wielu innych punktach lądowały maneki-



Załadowanie...

W Isigny, uwolnionym od okupantów

ny zamiast żołnierzy, dezorientując nieprzyjaciela. Dowództwo niemieckie nie mogło zorientować się do czego zmierza gen. Eisenhower — w jakim kierunku pójdzie jego główne uderzenie. To zamierzone zdezorientowanie przeciwnika powiodło się całkowicie. Niemcy potrzebowali czasu, aby zdecydować się uderzyć poważniejszymi siłami. W międzyczasie jednak — bo godziny grały tu rolę — napłynęły wojska, sprzęt i zaopatrzenie.

Opóźnienie kontruderzenia niemieckiego nie było oznaką słabości, lecz dezorientacji. Najbardziej zdumiewającym jednak faktem była nieobecność lotnictwa niemieckiego. Lądujące wojska w pierwszym dniu były właściwie wspaniałym obiektem dla Luftwaffe. Często całe oddziały maszerowały kilkadziesiąt metrów przez wodę ku brzegowi niosąc broń, amunicję itp. Również doskonałym celem dla nieprzyjacielskiego lotnictwa były eskadry szybowców, wiozące piechotę lotniczą. Nie mniej do południa pierwszego dnia operacji inwazyjnych zanotowano tylko 50 niemieckich samolotów nad terenem działań. Przy tysiącach samolotów Sprzymierzonych, zaangażowanych w akcji, ilość samolotów wroga nie wchodziła w ogóle w rachubę.

Herman Goering oświadczył przed kilku miesiącami, że Luftwaffe musi odprzeć inwazję — choćby sama miała przestać istnieć. Jednak Goering nie zaryzykował uderzenia, choć musiał zdawać sobie sprawę, że brak lotnictwa niemieckiego będzie miał decydujący wpływ na przebieg operacji.

Według ocen Sprzymierzonych Niemcy posiadają dziś około 1.750 myśliwców i około 500 bombowców. Goering najwidoczniej zdaje sobie sprawę, że Luftwaffe — ta sama Luftwaffe, która niegdyś terroryzowała Europę — dziś może jeszcze stanąć tylko do jednej poważniejszej bitwy powietrznej. Goering nie uznał, że tą jedyną bitwą winna być próba zepchnięcia lądujących armii Sprzymierzonych w morze.

Pierwsze godziny były decydujące i pełne grozy. „Wał atlantycki” nie był tylko reklamą. Jeden z najwybitniejszych korespondentów wojennych Whitehead, który lądował z wojskiem, pisze: „Pierwsze cztery godziny były jak koszmar złej nocy. Zalew ognia, pocisków, jęki rannych, wybuchy min. Nie było paniki.



NASZA OKŁADKA

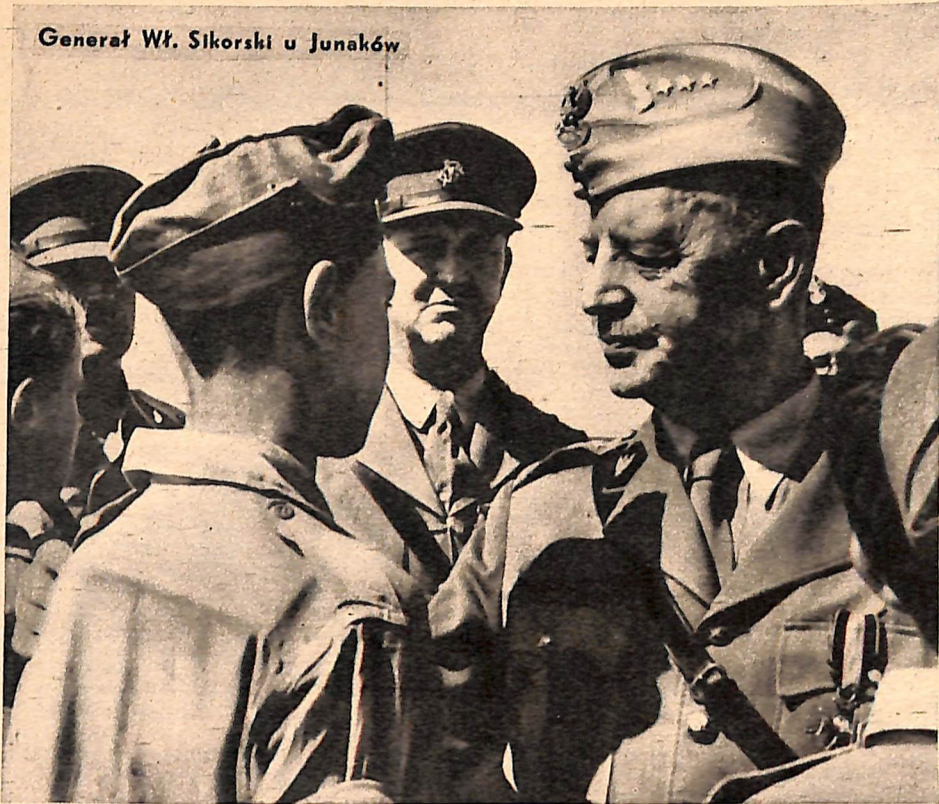


Amerykańscy saperzy — w drodze do Cherbourga

Fot.: U. S. Office of War Information

W pierwszą rocznicę zgonu ś. p. Gen. Władysława Sikorskiego

Generał Wł. Sikorski u Junaków



4 lipca 1943 r. pozostanie w dziejach tej wojny datą dla Polaków bolesną i żałobną. W dniu tym zginął bowiem śmiercią żołnierską u stóp gibraltarskiej skały Wódz Naczelny i Szef Rządu, Gen. Władysław Sikorski.

Przedwcześnie dziś, choć już rok od Jego zgonu upłynął, dokonywać bilansu tego niezwykłego żywota. Dramat bowiem, w którym przez lat cztery Gen. Sikorski był jedną z postaci pierwszoplanowych, daleki jest jeszcze od zakończenia i dopiero finał będzie sprawdzianem wartości Jego czynów. Niezależnie jednak od tego, jaka będzie ostateczna ocena historii, odnośnie słuszności założeń, którymi Gen. Sikorski kierował się w swojej polityce, będącej od Września zarazem polityką rządu polskiego, już dziś nie ulega wątpliwości, że jako mąż stanu, żołnierz i patriota pozostanie Władysław Sikorski jedną z osobistości czołowych w dziejach naszych walk o niepodległość.

Trzy są wydarzenia w tej wojnie z imieniem poległego Wodza i Premiera szczególnie ściśle związane. Przede wszystkim organizacja władz państwowych i odbudowa armii we Francji po klęsce wrześniowej. Konsekwencja wydarzeń oddała Mu wówczas w ręce ster potrzaskanej nawy państwowej. Po klęsce Francji, gdy świat płdawał się walić w posadach Gen. Sikorski, pomimo zdruzgotania bazy Jego planów i nadziei, nie załamuje się w swej woli zwycięstwa i wbrew radom ludzi duchem słabych, postanawia prowadzić walkę nadal przy boku osamotnionej wówczas i niemal bezbronnej W. Brytanii. Trzecim wreszcie aktem dokonany osobście przez Władysława Sikorskiego — na Jego dziejową odpowiedzialność — było podpisanie w dniu 30 lipca 1941 r. paktu z Rosją Sowiecką. Musiało być osobistą wielką tragedią Zmarłego, że jeszcze przed Jego przedwczesnym zgonem przestał żyć i ten pakt.

Z paktu lipcowego zrodziła się armia Generała Władysława Andersa i wszystko to, co Polska tej armii zawdzięcza.

Wszyscy darli się ku lądowi z nieopisaną siłą. A przecież Niemcy trzymali się w pozycjach świetnie ufortyfikowanych, nad którymi pracowali całymi miesiącami".

Niemieckie gniazda oporu i pozycje artyleryjskie, wspaniale umocnione, były tak urządzone, że prażyły ogniem liniami równoległymi do plaży. Ponieważ otwory ogniowe tych umocnień i pillboxów nie znajdowały się od strony morza — trudno je było zniszczyć ogniem dział okrętów. Z drugiej zaś strony takie właśnie umieszczenie otworów ogniowych pozwalało Niemcom trzymać pod ostrzałem kilometry plaży. Te pozycje znajdowały się o jakieś 100 jardów od plaży rozmieszczone tak, że się wzajemnie uzupełniały. Ponadto Niemcy dysponowali doskonałą siecią umocnionych gniazd karabinów maszynowych, które pokrywały ogniem krzyżowym każdy centymetr plaży. Owe gniazda połączone były systemem głębokich rowów. Do tego należy dodać pola minowe oraz przeszkody i miny tworzące system obronny samego wybrzeża, a będziemy mieli przybliżony obraz tego, co zastał na kontynencie żołnierz armii Sprzymierzonych.

Konferencja teherańska i warunki atmosferyczne nad Kanałem decydowały o dacie rozpoczęcia inwazji. Prezydent Roosevelt, wspominając o tym fakcie zaznaczył, że nie było żadnego przyczynowego związku między datą inwazji, a upadkiem Rzymu. Dokładna data została ustanowiona na kilka dni przed dniem rozpoczęcia akcji. Wyjątkowo niekorzystne warunki atmosferyczne skłoniły naczelne dowództwo do odstąpienia od pierwotnego terminu i przesunięcia daty o 24 godziny. Pogoda sprawiła, że inwazja z

mają przesunięta została na czerwiec. Chodziło bowiem o ustalenie się na Kanałe takiej pogody, która pozwoliłaby na bezpieczne poruszanie się małym jednostkom morskim.

Zdobycie Cherbourg posiada decydujące znaczenie. Jest rzeczą możliwą, że w chwili obecnej około 20 dywizji Sprzymierzonych znajduje się we Francji. Uprzypominajmy sobie, że dywizja piechoty, będąca w akcji, spotrzebuje dziennie około 350 do 400 ton różnorodnej amunicji. Ponadto konsumuje około 300 ton żywności. Do tych cyfr należy dodać środki sanitarne i mnóstwo innych rzeczy, niezbędnych dla wyposażenia żołnierza. To wszystko trzeba dowieźć. Duży port umożliwia szybką dostawę i sprawne rozprowadzenie zaopatrzenia do miejsc przeznaczenia. Poza tym z chwilą uruchomienia portu w Cherbourg okręty amerykańskie i statki idące przez Atlantyk będą mogły wprost zawijać do Europy bez potrzeby przeładowywania całości ładunku w portach angielskich.

Do chwili zdobycia Cherbourg gros prac przeładunkowych wykonywały t. zw. „ducki”. Owe „ducki” są amfibialnymi, olbrzymimi samochodami ciężarowymi. Z okrętów i statków stojących daleko w morzu przy pomocy „ducków” przetransportowywano cały materiał wprost na linię. Setki dział, czołgów, setki ton amunicji, wszelkiego sprzętu i zaopatrzenia przetransportowano w ten sposób.

Pierwsze trzy tygodnie inwazji przyniosły sukcesy, które uprawniają do najoptimistyczniejszych horoskopów na przyszłość — choć jak niedawno powiedział gen. Eisenhower — wojna nie jest jeszcze wygrana.



Wielkie amfibie przybijają do brzegów Francji



Długo szeregi jeńców niemieckich

Po drogach z siatki poruszają się kolumny z zaopatrzeniem





Amerykańska lotnicza siostra Czerwonego Krzyża



Szturmowy oddział amerykański likwiduje niemiecki pillbox

Ranni w jednym z portów brytyjskich

Kąpiel na plaży normandzkiej

Amerykanie w Carentan — zdobytym po krwawych walkach



Ośrodek łączności Karpackiej pod Cassino



„Hannibal umarł — Widmo nie żyje!”

Noc z 11 na 12 maja 1944. Na odcinku Polskiego Korpusu bitwa o Cassino już się rozpoczęła. Setki dział biją z naszej strony na pozycje nieprzyjacielskie, jednak i na nas idzie ciężki ogień artylerii i moździerzy.

Jestem koło sławnych dębów na przełęczy, na ścieżce prowadzącej na p. o. dowódcy baonu. Wobec ognia dalsze posuwanie się jest niemożliwe i w takiej chwili trzeba przytulić się do matki-ziemi i czekać, aż ogień przeniesie się dalej. Upływają minuty, pociski padają jeszcze bliżej, gwizdzą odłamki, fruwią kamienie i wtedy, kiedy zdaje się, że głowy bezkarnie podnieść nie można, spostrzegam biegnących dwóch ludzi, którzy szukają czegoś po ziemi i krzakach. Podchodzą do mnie. To żołnierze łączności Karpackiej badają linię. Jest uszkodzona i muszą ją naprawić, bo inaczej nie będzie połączenia z Brygadą. Nie zważają na niebezpieczeństwo, bo rozumieją jak wiele zależy od naprawienia przewodów.

Nie minęło kilkanaście minut, a linia została naprawiona, lecz obaj żołnierze pchor. Mał. i strz. Ton. zostali poranieni odłamkami pocisku moździerza. Razem ze strz. Syl., który ranny został przed chwilą, jest już ich trzech. Wkrótce powraca inny patrol naprawczy z rannym strz. Gr. Liczbę rannych powiększa po kilkunastu minutach st. strz. Grusz.

Na centrali telefonicznej praca wre. Wbiegają telefoniści, aby pozostawić „końcówkę” rozpoczętej linii. Obarczeni bębniami kabla usiłują czynić to jak najszybciej, aby dołączyć do kompanii, posuwającej się ku podstawie natarcia. Chodzi o to, aby rychło dać łączność

drutową, która właśnie w tych warunkach jest najpewniejsza.

Nie jest to łatwe. Ogień nieprzyjacielski nie słabnie i wszelkie usiłowania, aby utrzymać łączność drutową, nie osiągają skutku. Udaje się tego dokonać na przeciąg krótkiego czasu i tylko z niektórymi kompaniami. Padające pociski powodują tyle uszkodzeń przewodów, że patrole naprawcze nie mogą ich usunąć. Przybywa coraz więcej rannych. Przychodzi ostatkiem sił kpr. Dzie., półprzytomny pada na ziemię. Prowadził linię do 2 kompanii. Nie udało mu się. Pocisk moździerza padł bardzo blisko, raniąc go poważnie na całym ciele.

Na m. p. dowódcy działają dwie radiostacje, mające umożliwić porozumiewanie się z posuwającymi się kompaniami i dowództwem Brygady. Łączność z Brygadą jest utrzymana od początku bitwy, ale gorzej jest z kompaniami. Ciągłe wołania radiofonisty pozostają długo bez odpowiedzi, a nawiązana łączność gubi się szybko. Po otrzymaniu kilku meldunków, że „wszystko odbywa się według planu”, nastąpiła dłuższa przerwa. Był to czas, kiedy kompanie powinny opuścić podstawę natarcia i posuwać się ku gardzieli, to też nic dziwnego, że dowódca niecierpliwie oczekiwał dalszych meldunków.

Przy radiostacji obok kpr. Pir. siedzi strz. Les., młody, wątły budowy chłopak, który wśród piekielnego huku, bez przerwy usiłuje nawiązać łączność z kompaniami. Zmęczonym głosem wywołuje umówione sygnały i znów słucha, od dłuższego czasu bezskutecznie. Gdy uda mu się złapać głos kolegi, ożywia się.

Niekiedy wywołana kompania zgłasza się właśnie w chwili, kiedy szła na nas nawała ognia i zdawało się, że na-

stępny pocisk zniszczy wszystko. Nawet najbardziej opanowani schylali się za każdym przejmującym gwizdem pocisku i myśleli, że to już koniec.

Zapominało się wtedy o wszystkim innym, a myślało o sobie. W chwili najbardziej ciężkiej, kiedy pocisk trafił sąsiedni schron, a zapalił nasz, kiedy sy-pały się kamienie i odłamki, a instynkt samozachowawczy (czy jak kto woli strach), nakazywał kryć się, nasz mały radiofonista wprawdę kurczył się, jakby chciał zmniejszyć zajmowaną przestrzeń, ale przecież siedział przy aparacie i wołał: „Nikodem, Nikodem, Paweł... słucham”...

I właśnie w takiej chwili, jakby na przekór temu, co działo się wokoło, radosnym głosem krzyknął: „Mam! Odzywają się... Mówi Nikodem trzy... powtarzam meldunek... Dochodzimy do Gardzieli... Nikodem cztery jest niedaleko... zdaje się, że ich aparat nie funkcjonuje... możemy pośredniczyć”.

Wiadomości te powodowały, że mimo grozy sytuacji, odrazu robiło się weselej na p. o. dowódcy. Ludzie podnosili głowy, zaczęli mówić. Potem znowu nastąpiła przerwa i chwyciło się tylko urywki meldunków... „Posuwamy się powoli... kartofle i pomarańcze bardzo nam dokuczają... kończę, bo muszę dopędzić kompanię”.

Rozumiemy przyczyny tych przerw. Z kompanią nacierającą w terenie zarośniętym krzakami, posuwa się radiostacja. Trzeba ją dźwigać na plecach, obciążonych już karabinem i amunicją, przy padaniu uważać, aby aparatu nie uszkodzić, a w chwili, gdy krycie się przy ziemi



Łączność działa



Podejście na pozycję ↑

↓ Zapatrzeni w „ziemię niczyją”



może być dla piechura momentem wytchnienia, trzeba dostroić aparat i nawiązać łączność z baonem. Już ją nawiązano, a tymczasem kompania odeszła dalej. Trzeba dokończyć nadawanie meldunku, a potem dopędzić kompanię. Dopędzić... w tej dżungli... w ogniu.

Tak w ciągu nocy 11—12 maja i dnia 12 maja prowadzono z przerwami rozmowy. Potem przerwy były coraz dłuższe, aż wreszcie nie pomogły żadne wywoływania radiostacji baonowej. Kompanie nie odzywały się.

Przed południem dnia 12 maja 1944 r. milkły po kolei nasze radiostacje kompanijne. Czy mogło być inaczej? Kto i w jaki sposób miał odpowiadać, skoro z patrolu łączności 2 kompanii, na początku akcji został ranny strz. Sylw., potem zabity strz. Mig. i ciężko ranny kpr. Dziew. Wystąpił dodatkowo strz. Gul. również zostaje ranny, pocisk strzaskał radiostację. Nie mogło być inaczej w 4 kompanii, gdzie na początku bitwy zostaje ranny st. strz. Boj., prawie rów-

nocześnie pada ciężko ranny strz. Trz., a z radiostacji pozostają drzazgi. Jest jeszcze strz. Piek. — i ten ginie w godzinach południowych dnia 12 maja.

Kiedy później dowiedzieliśmy się o tym, zrozumieliśmy tragedię milczenia w eterze, zrozumieliśmy, dlaczego głos strz. Les. bezskutecznie wywoływającego: „Nikodem, Nikodem, Paweł 2, 3, 4...” był coraz bardziej matowy i smutny.

Nie wiedzieliśmy wtedy o tym w centrali, domyślaliśmy się tylko i przeczuwali. Tliła jednak w nas jeszcze iskra nadziei, że sytuacja się poprawi i znowu zadzwieczą telefony, a z kompanij nadejdą meldunki. Gdy zamilkły aparaty kompanijne, radiostacja baonowa nadawała tylko meldunki do Brygady. Znowu wśród wybuchów pocisków słyszeliśmy jednakowo spokojny głos radiofonisty: „Tu Nikodem, Nikodem, Paweł... do Dorota, Ypsilon, Violetta... nadaję meldunek”.

Nadawano to, co przynieśli gońcy, a zawsze powtarzało się krzepiące zdanie:

„Nikodem trzy z por. Mas. siedzi dalej na Gardzieli i wytrzymuje ogień. Okopał się i nie ustąpi”.

Głos radiofonisty brzmiał teraz inaczej, była w nim nuta, coś z dumy i wzruszenia. Tym samym głosem wołał przedtem: „Hannibal umarł! Hannibal umarł! Widmo nie żyje!”. Wykrzykiwał i cieszył się wiedząc, że bez zdobycia tych pozycji nie można myśleć o wykonaniu bojowego zadania baonu. Po jakimś czasie powtarzał już ciszej otrzymywane komunikaty: „Na Hannibala idą przeciwnatarcia niemieckie... nasi się bronią... na Widmie sytuacja nie jasna... Uważajcie na głowę Wężal...”.

Radiofonista doskonale znał sytuację i kryptonimy, a na podstawie otrzymywanych komunikatów i meldunków wiedział, jak przedstawia się przebieg działań. Słuchający mogli łatwo orientować się w sytuacji, zwracając uwagę choćby tylko na ton jego głosu. To był niezawodny wskaźnik powodzenia naszych operacji.

Szły wołania o ogień na nekające nas baterie nieprzyjacielskie. Nie wierzyliśmy w ich rychły skutek, zresztą dziwnym zbiegiem okoliczności, po każdym takim wołaniu otrzymywaliśmy dodatkowe serie pocisków. Wreszcie przestano wołać przez radiostację i przed wieczorem wypuszczono gołębia pocztowego z pisanim meldunkiem. Osłabiony siedzeniem w dusznym schronie siedział chwilę, potem odleciał. Po kilku dniach widziałem ten meldunek. Doszedł na miejsce przeznaczenia.

Dziwne zestawienie: w okresie radia i telewizji — gołąb pocztowy.

Centrala telefoniczna, która w chwili rozpoczęcia bitwy wrzała życiem, teraz zamilkła. Przedtem plut. Szcz. i Fr. dokładali wszelkich starań, by wszystko grało jak w zegarku i aby nikt nie mówił, że łączność funkcjonuje dobrze tylko na ćwiczeniach. Wiadomo, że tym można im dokuczyć najbardziej. Czuliśmy, iż chcieli teraz wykazać, jak błędny był ten sąd.

Widać było rozgorączkowane oczy telefonisty skutecznie łączącego kabel, potem jego niepewność i obawę, gdy nikt nie odpowiadał, a nie było komu pójść, by szukać uszkodzenia linii. Kiedy wszystko zaczęło się rwać i nie osiągnano żadnego połączenia, oczy te wyrażały rozpacz, tę czarną, głuchą rozpacz, która ogarnia człowieka, wiedzącego, że nawet największe poświęcenie nie zmieni sytuacji. Jakby nie dowierzając sobie badał wtyczki, oglądał uziemienie. I znowu dzwonił, znowu wołał. Nikt nie odpowiadał. Wyraz oczu plutonowego mówił więcej, niż gdyby żył z nich płynęły. Przypominał mi się żołnierz z „Reduty Orzona”, co „długo szukał w ładownicy”...

Kiedy plutonowy nic już nie mógł poradzić, usiadł przy centrali, przykręcał jakieś śrubki, coś naprawiał, choć aparat nie był zepsuty. Zdaje się nawet, że ścierał kurz z aparatu.

Tak mijały godziny. Padające pociski jakby nie wywierały na niego żadnego wrażenia. Ożywił się, a oczy jego zajaśniały radością, gdy około godz. 20, dnia 12 maja dobiegł do nas patrol telefoniczny z Brygady, prowadząc linię. Plutonowy nie posiadał się z radości. Szybko włączył kable, porwał słuchawkę i wesoło wołał: „Tu Nikodem... tak, mamy połączenie... słyszę... bardzo dobrze słyszę”...

Z kompaniami jednak połączenia nie było. Dokonuję w myśli przeglądu telefonistów. Oto spokojny dowódca plutonu ppor. Br., który zdawało się, nawet rozkazów nie wydawał, bo na uwagę jego, że trzeba pójść na linię, staowało od razu dwóch, jakby do nich mówił. Przesuwają się w pamięci zdrowi, którzy przez 24 godzin bez przerwy pracowali, i ranni, którzy pokaleczeni, zmaltretowani, ostatkiem sił starali się dostać do centrali.

Ledwie przytomni, wyczerpani nerwowo do ostatnich granic, wracali z bronią i sprzętem. Ciężko ranny Dziew. nie mówił o swoich ranach, nie pamiętał o ich opatrzeniu, ale rozpaczał, że radiostacja uległa zniszczeniu. Takim był z niej dumny.

Zbliżał się wieczór 12 maja 1944. Rannych wyewakuowano przed południem. Przenosimy się na nowe miejsce. Opuszczamy Małą Miskę. Telefonisci porządkują wszystko, co mają ze sprzętu, zwiągają resztki kabla, zabierają aparaty. Dowódca plutonu bierze jeden aparat na plecy, po czym skokami przechodzą przez przełęcz. Bitwa trwa. Wieczorem zapewne ciągnąć będą nową linię. Może byłoby trudno odpowiedzieć, kto to zrobi, bo zostało ich 1 plus 10, ale dobrze wiedzą, że muszą wystarczyć za cały pluton.

Nie wszyscy odchodzą. Pozostają kpr. Pir. i kpr. Szat. Będą utrzymywali łącz-

ność między dowódcą baonu, a pozostającym w Gardzieli por. Mas. — Jutro ich zmienia.

Nie zmienili. Nie zrobili tego także w dniu następnym. Po południu dnia 15 maja pocisk trafił w schron i wtedy nasi telefonisci musieli przerwać pracę. Sami cudem uniknęli śmierci, ale aparat został całkowicie zniszczony. Odeszli po pięciu pełnych dniach tego piekła.

Myśląc dzisiaj o plutonie łączności, widzę wciąż ponurą twarz telefonisty w chwili, gdy centrala przestała funkcjonować; widzę biegających z bębniami kabla, wśród nocy rozjaśnionej wybuchami pocisków; widzę rozwichrzoną czuprynę radiofonisty i słyszę jego głos: „Nikodem, Nikodem, Paweł... do Dorota Ypsylon, Violetta... dokuczają nam... uspokójcie koniecznie Haydna... Nikodem, Nikodem, Paweł”...

Władysław Choma



6 czerwca, o świcie, tysiące spadochroniarzy amerykańskich zostało przewiezionych samolotami i zrzuconych na kontynent

STRAŻ PRZEDNIA INWAZJI

Niemcy pierwsi w tej wojnie wprowadzili wielkie ilości spadochroniarzy. Szczytem powodzenia niemieckich wojsk powietrznych było opanowanie Krety w maju 1941 roku. Z chwilą zepchnięcia Niemców do defensywy spadochroniarze ich, szkoleni przede wszystkim ofensywnie, używani są już tylko i wytracani w walkach obronnych. Również i w tej dziedzinie sojusznicy pobili Niemców na głowę.

Oddziały powietrzne Sprzymierzonych stanowiły straż przednią armii inwazyjnej i one pierwsze wylądowały na

kontynencie. Inwazyjne operacje desantowe dokonane zostały w skali dotychczas niespotykanej. W pierwszym tylko dniu inwazji — 6 czerwca — zrzucono w Normandii 20.000 spadochroniarzy amerykańskich, liczby dotyczące brytyjskich wojsk powietrznych, użytych w tej akcji, nie są jeszcze znane. Po raz pierwszy też „wylądowały”, dla zmylenia Niemców, całe oddziały manekinów. Inną niespodzianką byli czerwonoskórzy Indianie, którzy „spadali z nieba” na tyłach wojsk niemieckich. Niemcy dziś giną, bici własną bronią.

Ostatnie przygotowania spadochroniarza →

Spadochroniarze zafasowali konie i tak patrolowali miasteczko St. Mero Eglise





Ma już dość...

Załoga czołgu bierze jeńców. Za chwilę wyjdą ze schronu

NOC w DUŻEJ MISCE

Władysław Choma

Odcinek walki pod Cassino różnił się pod wielu względami od wszystkiego, co było dotychczas na froncie śródziemnomorskim. W normalnych warunkach wojennych, żołnierze odbywszy określony czas na pierwszej linii, odchodzili do odwodu na kilka dni zasłużonego odpoczynku. Ze względu na działalność lotnictwa nie było wprawdzie miejsca w strefie przyfrontowej, gdzie nie mogłyby spaść bomby, jednak okazało się, że oddział w odwodzie nie pozostawał w zasięgu ognia artylerii, a przynajmniej moździerzy. W układzie sił lotniczych na froncie włoskim atak z powietrza nie był brany poważnie w rachubę.

Jak przedstawiało się to na odcinku DSK pod Monte Cassino? Batalion X pozostawał na pierwszej linii przez dwa tygodnie. Tego stosunkowo krótkiego okresu nie można porównywać z tym samym czasem na innym odcinku, ze względu na szczególnie trudne warunki walki pod Cassino. Oddalenie od linii nieprzyjacielskich wynosiło tu przeważnie 100 do 200 m, w wielu miejscach nie więcej jak 100 m, a były i takie punkty, gdzie tylko 50 m dzieliło pozycje. Trzeba dodać, że nieprzyjaciel, trzymając w swym ręku wyżej położone punkty terenu, miał wgląd wszędzie i jak ktoś powiedział dowcipnie, wiedział, co kucharz gotuje nam na kolację. W tych warunkach nie było mowy o jakimkolwiek ruchu w ciągu całego dnia, a nocny ogień nękający powodował tyle strat, że poruszanie się nawet po zachodzie słońca nie było bezpieczne.

Żołnierz, ocierając się codziennie o śmierć, widząc jej ciągłe zniwo, czekał chwili, kiedy znajdzie się choć przejściowo w odwodzie, gdzie wreszcie umyje się należycie i wyprostuje kości, i nie będzie pod wrażeniem padających pocisków. Przypominano te wioski i miasteczka włoskie, do których na poprzednim odcinku odchodziło się na odpoczynek i wieczorami spędzało przyjemnie czas przy kominku.

Te czasy minęły, zdaje się bezpowrotnie. Obecny odwód, to „Duża Miska”, gdzie nieprzyjaciel nie mógł wprawdzie sięgnąć bronią maszynową, ale nie szczędził za to seryj pocisków ciężkich moździerzy i artylerii.

Sama „Duża Miska” stanowi niekwaśne duże wgłębienie terenowe, którego dno w największej rozciągłości nie miało więcej, jak 150 m. Do tej głębokiej kotliny o stromych i wysokich ścianach, wygodne dojście było tylko od strony wschodniej. Zarówno moździerze, jak i artyleria nieprzyjacielska strzelały tam przede wszystkim od strony Monte Cairo. W pierwszej fazie pobytu pociski padały najczęściej na dno Miski, nieraz na skraj, którą prowadziła ścieżka i wtedy ofiarą padali ci, którzy w tym czasie znaleźli się na ścieżce, lub w jej pobliżu. Pociski lekkich moździerzy trafiały czasem w schrony, ale wybuchały nie zdoławszy przebić nakrycia zabezpieczonej ziemianki.

Bywały dni, kiedy w Misce całymi godzinami panował spokój. Można było siedzieć przed schronem, grzać się w promieniach majowego słońca i podziwiać piękny świat. Wszystko pachniało, wiosna występowała w całej pełni. Wszędzie



Powrót na m. p.

kwiaty, piękne, czerwone maki. Przed zdradliwością ciszy często przestrzegano, ale wydawało się, że są to przesadne obawy i zamiast cisnąć się w wilgotnej ziemi, lepiej oddychać świeżym powietrzem.

Pojedyncze pociski, padające na Miskę, nie czyniły na razie większych szkód, ale przetrzęgały żołnierzy, że może przyjść nawała. Nawet w czasie silniejszego ostrzeliwania, jeśli żołnierze przebywali w schronach, nie było poważniejszych strat. Zdawało się, że tak będzie nadal. Nagle dnia 8 maja, niespodziewana nawała w czasie spożywania kolacji spowodowała straty: kilkunastu rannych. Tak nagle, krótko i gwałtownie, a potem znowu cisza!

Miska pławiła się w świetle księżyca; słowik wyspiewywał w gąszczach i wierzyć się nie chciało w prawdę tego, co działo się tutaj. Tylko sznur sanitariuszy, znoszących ofiary strzelaniny, był dowodem przykrej rzeczywistości.

W dniu następnym żołnierze byli ostrożniejsi i więcej przebywali w schronach. Ogień spadł gwałtowniejszy, niż dnia poprzedniego i gdyby nie to, że jeden z pocisków spadł na nieukończony schron, gdzie zabił pchr. Sek. i ranił kilku innych, można by uważać, że tym razem nie udało się zaskoczenie.

Z rozpoczęciem ofensywy, ogień nękający stał się bardziej dokuczliwy, nawały coraz częstsze. W czasie natarcia DSK, 12 maja, nieprzyjaciel zasypał Miskę ulewą pocisków, przypuszczając, że znajdują się tam odwody. Pomylił się wtedy, ale od tego dnia ostrzeliwanie Miski stało się tak intensywne, że pierwsze dni pobytu wydawały się niemal sielanką.

Ogień stawał się szczególnie niebezpieczny w porze, kiedy przybywały konwoje z zaopatrzeniem.

Do Miski przyszedłem w niedzielę o zmierzchu. Koledzy, którzy zawsze ciekawie wypytawali się o wiadomości z dołu, czynili to i tym razem, ale w ich zachowaniu widziałem zdenerwowanie. Okazało

się, że oczekują konwoju i będą bardzo zadowoleni, jeśli uda im się prędko muły rozładować, objąć próżnymi bańkami i odesłać z powrotem. Por. Gm. wspominał, że tak jakoś dziwnie się składa, iż w ciągu ostatnich dni w czasie przybycia konwoju rozpoczynał się ogień nieprzyjacielski, powodujący pewne szkody. Żołnierzom wydawało się, że obserwator nieprzyjacielski zbliżał się pod osłoną nocy i kierował dokładniej ogniem. Istotnie, ogień moździerzy kierowano pociskami świetlnymi Spandau'a, na którym wypukiwano jakieś umówione serie. Wdzieliśmy to od szeregu dni, nie było natomiast danych, aby twierdzić, że obserwator znajduje się na bliskim przedpolu, czy w rejonie naszych stanowisk. Teoretycznie rzeczy te nie były wykluczone, ale praktycznie mało prawdopodobne. Płatka, podawana z ust do ust nie znajdowała wprawdzie całkowitej wiary, ale przecież wywołała atmosferę dość podnieconą. Trzeba dodać, że nie było to zdenerwowanie strachajków, bo kilku śmiazków, nie bacząc na stały obstrzał nieprzyjaciela i inne niebezpieczeństwa w terenie, przeszukiwało podejrzane miejsca w nadziei, że uda im się u nieszkodliwie obserwatora. Na razie bez skutku.

Dziś w napięciu oczekiwano znowu godziny nadejścia mułów. Nie mogąc usunąć bezpośredniego źródła niebezpieczeństwa, myślnie o zmniejszeniu skutków ostrzeliwania. Rozładowanie kilkudziesięciu mułów wymagało wiele czasu, co przy ostrzeliwaniu narażało pracujących. Tym razem zdwojono ilość ludzi, którzy mieli dokonać rozładowania i kiedy tylko czołowy konwoju stanęło przed schronem, wszyscy rzucili się do roboty.

Muły niosły skrzynki z zaopatrzeniem i amunicją oraz bańki z wodą. Ładunek był silnie umocowany do juków, bo transport odbywał się na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów. Nawet przy wprawie, rozwiązywanie tego wszystkiego wieczorem, w atmosferze nerwowej trwało zapewne dłużej, niżby sobie tego życzyli pracujący.

Obawy por. Gm. okazały się słuszne. Prawie równocześnie z przybyciem konwoju, pierwsze pociski moździerzy padły na zbocze Miski. Na razie nie wyrządziły bezpośredniej szkody, ale po następnej serii usłyszeliśmy krzyki w sąsiednim

Nasz ranny przyjaciel



Pierwsza pomoc na linii ↑

oddziale, a padające kamienie i gwizd odłamków wskazywały, że tym razem strzały były celne.

Zaczęło się piekło. Pociski padały już i w nasze zgrupowanie, jeden muł ugodzony odłamkiem, leżał na ziemi. Co robić? Rozładować, czy ukryć się.

Nasi żołnierze mogliby uciec do schronu, ale na pastwę pocisków pozostawionoby mułowodnych i same muły, stojące dziwnie spokojnie. Gdyby przerwano wyładowanie, nie można by nawet marzyć o uratowaniu przywiezionego zaopatrzenia, a przecież to ważna sprawa. Były wprawdzie jakieś zapasy, ale dziwniejszy transport, to zaopatrzenie na dzień następny. Gdyby tylko to uległo zniszczeniu, możeby dało się jeszcze braki wyrównać, ale kto zapewni, że to samo nie powtórzy się jutro?

Zapewne nie rozumowano tak w czasie strzelania, a raczej w późniejszych już rozmowach. Wtedy, kiedy padały pociski kierowano się wdruhami, pasją, uporem i zapalczywością. Do podobnych uczuć należy także strach, ale wtedy, nie miał głosu w Dużej Misce.

Słuchać krzyk por. Gm.: „Nie chować się! Musimy rozładować!”.

Przy nieustannym huku, wśród ognia pękających pocisków pracowali na wyścigi ze śmiercią. Zdaje się, że zatracili poczucie rzeczywistości, a kto widział błysk ich oczu, ten był przekonany, że choćby padli do ostatniego, rozpoczętej pracy nie przerwą.

Sytuacja była coraz groźniejsza. Od pocisków zapalających zapaliła się amu-

nicja sąsiedniego baonu, rozłożona w naszym rejonie, paliły się skrzynki z żywnością i paczki z raketami. Cała Miska była oświetlona, jak w dzień. Trudno opisać to wszystko. Zdaje się, że określenie „piekło”, jest łagodne. Pożar był dla nieprzyjaciela wskaźnikiem, że jego ogień jest skuteczny, toteż ostrzeliwanie wzmożło się. Pociski padały seriami prawie bez przerwy. Paląca się amunicja eksplodowała, rozrzucając szczątki po całej kotlinie. Amunicja karabinowa trzaśkała w ogniu bez przerwy.

W tych potwornych warunkach skończono rozładowanie mułów. Mułowodni natychmiast popędzili je galopem do tyłu. Trzy ciężko poranione pozostały na ziemi przed schronem.

Siedzieliśmy przytuleni do ściany ziemianki, patrząc w stronę wejścia, skąd już nie jaśniało, ale buchało światło. W Misce słychać było krzyk. Wybuchająca amunicja utrudniała gaszenie pożarów i wynoszenie rannych. W schronie wyrażano zadowolenie, że własną amunicją

rozrzucono w należytych odległościach i dalej od schronu. Obok było tylko kilka skrzynek, nieco żywności i siatek maskowniczych. Mimo ciągłego ostrzeliwania odetchnęliśmy trochę. Najważniejszą pracą wykonano. Konwój rozładowany, muły odesłane, woda jest, wszyscy zdrowi i cali, tylko dwaj mułowodni lekko ranni, ale i oni odeszli do punktu opatrunkowego.

Zdawało się nam, że jest dobrze, ale widocznie nie miał to być koniec udręczeń wieczoru, bo jasność bijąca z otworu wejściowego zwiększyła się, a w schronie czuć było swąd palących się szmat. Trzeba było wyrzeć na zewnątrz. Ktoś wyrzwał i krzyknął: „Schron się pali!”. Porwali się wszyscy. Okazało się, że paliły się siatki maskownicze, i skrzynki, jeszcze chwila, a zajęłaby się amunicja. Nie było ani chwili do stracenia. Nikt się też nie wahał. Wśród huku i trzasku, ludzie nie bacząc na niebezpieczeństwo, gasili ogień. Ziemią zduszono palące się szmaty, wodą zalano skrzynki. Wybuch zerwał plutonowemu Pl. gwałtownie hełm z głowy. Plutonowy zachwiał się, ale pracował gorączkowo dalej.

Gaszenie trwało dwie, a może trzy minuty. Nam zdawało się, że godzinę. Znowu leżeliśmy w schronie, oczekując dalszych niespodzianek. Pociski wciąż padały, niebezpieczeństwo nie minęło. W pewnej chwili nastąpił silniejszy wybuch zapalonych amunicji i od tego czasu pożar zaczął słabnąć i dogasać. Coraz słabiej jaśniał otwór wejściowy, aż wreszcie stał się popielaty.

Świecił księżyc. Zegarek wskazywał 25 minut po północy. Przetrwaliśmy więc dwie godziny prawdziwego piekła. Teraz nieco ucichło. Serie strzałów nie następowały bezpośrednio po sobie, były chwile ciszy. Można było rozejrzeć się po schronie. Po wygaśnięciu pożaru mdłe światło lampy stało się widoczne. Koledzy wycieczeni do ostatnich granic, leżeli i wodą gasili pragnienie. Zaczęli przytomnie mówić. I znów zdawało się, że już wszystko złe minęło. Pociski padały na zachodnie zbocze Miski, schron zabezpieczał nas przed odłamkami.

Na dworze rzucał się po ziemi ranny muł. Męczył się. Należałoby go dobić, ale trzeba wyjść ze schronu. Czy warto narażać się, aby ukrocić męki zwierzęcia? Dziwne miary stosuje się w takich wypadkach. Plut. Pl. wybiegł i kilku strzałami z pistoletu usiłował dobić muła.

Godzina 1 min. 40. Rozmowa zaczęła się rwać, większość kolegów usnęła, a wkrótce spali prawie wszyscy. Z poza ściany dochodziło stękanie muła. Gdzieś w zaroślach słowik wywodził swoje trele. Nic go nie płoszyło. To przecież maj, jego pora. Księżycowa noc, śpiew słowika, czerwone maki i okropności wojny.

Ogień nękający prowadzony był nadal. Znając przysłowiową dokładność niemiecką patrzyłem na zegarek, aby stwierdzić jak długo trwają przerwy między poszczególnymi seriami. Nie były jedynakowe i wahały się między 10 a 12 minutami. Ilość pocisków w serii wynosiła zwykle 8, czasem było ich więcej, do czterech. W tych wypadkach oprócz moździerzy strzelała i artyleria. Jakaś bateria biła w nas ogniem zmechanizowanym. Zaczynali od nas, potem przesuwali ogień ku górze i znowu z powrotem. Pierwszy, względnie ostatni pocisk padał tuż przy naszym schronie. Gdy wybuchał, odłamki uderzały o ściany i dach. Wolałem, kiedy pociski zaczynały od nas, bo w tym wypadku można było spodziewać się, że następne upadną dalej. Po pierwszym, ogłuszającym huku, następne, choć równie głośne, nie powodowały jednak takiego ciśnienia powietrza. Kiedy porządek był odwrotny, następowało stopniowanie, nieprzyjemne dla ucha i nerwów. Przy tej kolejności zdawało się, że według obowiązujących praw rozrzutu jakiś pocisk musi wreszcie zawadzić o naszą ziemiankę. Taka myśl wywoływała natychmiast sprzeciw. Dlaczego miałoby tak być? Może z tym rozrzutem nie jest tak źle?

Zdawałem sobie sprawę, że moje roz-



W Dużej Misce pobierają wodę



Zdobyty na Niemcu karabin maszynowy



W odwodzie



Duża Miska: znoszenie zabitych

myślenia miały charakter czysto teoretyczny, a nawet uznawałem naiwność swego rozumowania i sposobu podchodzenia do tematu, ale czy miałem myśleć ciągle o tym, że następny pocisk dla porządku nam się należy? Jakikolwiek myślenie zaprzętało uwagę i nieco uspakajało. Wmawiałem więc w siebie, że skoro dotychczasowy ogień nie naruszył całości naszego schronu, to dlaczego następne pociski miałyby koniecznie przeorać tych kilka metrów kwadratowych.

Właściwie najlepiej byłoby zasnąć i nie słyszeć tego wszystkiego, ale coś zrobić: sen nie przychodzi na zawołanie. Patrzyłem na śpiących towarzyszy, zadrześciłem im, że mogą spać. Muszał Pozostają tu już trzy tygodnie, nie mając ani jednej godziny pewnego spokoju. Pracują ciężko w warunkach, które podają wysokiej próbie wytrzymałość nerwów. Przypomniały mi się słyszane do cinki pod adresem podoficerów mundurów, czy żywnościowych. Przychodzą na myśl typy takich dygnitarzy, ale ci, których widziałem tu zarówno wczoraj, jak i dziś nie byli do nich podobni. Narażeni na śmierć lub kalectwo dźwigali bańki z wodą, skrzynki z amunicją i żywnością, bo wiedzieli, że bez należytego zaopatrzenia żołnierz na linii nie wytrzyma. Nie widziałem wśród nich podziurawionego stopnia, prześcigali się w pracy. W wykonaniu roboty nikt nie czekał, aby inny go wyręczył. Ktoś musiał wyrzeć, gdzie się pali, nie trzeba było wyznaczać, poszedł ten, który był najbliższym wyjścia.

Ostatni raz spojrziałem na zegarek o godzinie 4 min. 30. Potem słyszałem jeszcze nowe wybuchy. Zaczynałem zasypiać. Słyszałem już tylko śpiew słowika i stękanie muła.

Jasny był już dzień, kiedy się zbudziłem. Wszyscy spali. Nie strzelano. Podszedłem do wyjścia. Słońce świeciło, był piękny ranek. Miejsce naokoło schronu przedstawiało obraz zniszczenia i nieporządku. Przywiezione wczoraj zaopatrzenie leżało porozrzucane tak, jak je w nocy zdjęto z mułów. Część była rozbita, niektóre bańki podziurawione. Obok leżał martwy muł, o kilka kroków dalej dwa inne.

Zbudzili się i współtowarzysze. Zamiast myć się lub jeść, rzucili się przede wszystkim do uporządkowania rejonu. Wszystko poskładano i zamaskowano. Mógł się przecież pokazać samolot wywiadowczy, stwierdzić stan i dodatkowe

ostrzeliwanie na kilka następnych dni byłoby zapewnione.

W Misce rozpoczęło się zwykłe życie. Ludzie wystawiali głowy ze schronów i oglądali się naokoło, potem wychylali się do połowy, aby wreszcie wyjść na wierzch. Ze schronu musi się wyjść! Trzeba pobrać wodę, pójść po śniadanie, poprawić ziemiankę. Trzeba się choć trochę obmyć, może i oczyścić, a i pogadać z sąsiadem. Prawda, że lada chwila paść może pocisk i przychwycić kogoś poza schronem, ale na to nikt nie poradzi, a wiecznie w norze siedzieć nie można.

Oglądaliśmy wyniki wczorajszego ognia. Wszędzie na ziemi odłamki pocisków, wachlarze szarego prochu z wybuchów. Na miejscach, gdzie były nagromadzone skrzynki z amunicją i zaopatrzeniem pozostały tylko kupki popiołów, z których unosił się jeszcze dym. Krzaki koło dowództwa baonu były spalone, drzewa osmolone. Tuż przy ścieżce leżą dwaj pionierzy: kapral i plutonowy, dalej jeszcze jeden. Pocisk musiał paść blisko: są bardzo zmasakrowani. Dalej widać kilkanaście zabitych mułów i kilku mułowodnych. Sanitariusze zabierają ciała zabitych na nosze i transportują ku dołowi, rannych przeniesiono w ciągu nocy.

Przy kuchni rozmawiamy z plut. Z. i kucharzami. Biadają nad stratami i pytają kiedy będzie koniec wszystkiego. Przypomniałem sobie, jak wczoraj przestrzegałem kolegów przed niepotrzebnym kręceniem się po rejonie, a dziś złapa-

Pokrywa stalowego schronu niemieckiego, mieszczącego wyborowych strzelców z bronią maszynową





Gen. Wł. Anders z laską z kości słoniowej opata klasztoru Benedyktynów w Cassino. Laskę tę zabrał opatowi dowódca niemieckich spadochroniarzy. Po zdobyciu klasztoru żołnierze Polskiego Korpusu odebrali Niemcom cenną laskę i wręczyli ją Generałowi, który przekazał ją prawowitemu właścicielowi



Duża Miska — typy żołnierzy

łem się sam na tym grzechu. Przyznałem się do tego wobec swego rozmówcy i podążyłem do schronu. Dzielłem się właśnie spostrzeżeniami z por. Gm., kiedy padła pierwsza, a za nią druga seria pocisków mózdzierza. Trzeciej nie było. Znowu spokój. Wyjrzelśmy ze schronu. Koło kuchni podejrzany ruch. Widać sanitariuszy. Dowiedzieliśmy się, że plut. Z., z którym przed chwilą rozmawiałem, został poważnie raniony, inni odnieśli mniejsze obrażenia.

Do południa nie wystawiałem już nosa ze schronu. Odmówiłem sobie przyjemności odwiedzenia innych znajomych. Trzeba było pomyśleć o zejściu na dół, robi się to zwykle wieczorem. Wtedy obserwator nie widzi, ale ponieważ wiem, że w tym czasie idzie zaopatrzenie, ostrzeliwana jest odcinkami cała trasa. A gdyby tak spróbować — pójść jeszcze za dnia? Do jednego nie opłaca się strzelać z mózdzierza, ostatecznie do miejsc nieco zabezpieczonych nie jest tak daleko. Najważniejsze, aby przebyć „polaną śmierci” — to jakich 300 m, potem można wytchnąć za skałą. Przy świetle dziennym łatwiej bieć. Żeby tylko dostać się na mulą ścieżkę. Potem na dół, tam napewno znajdzie się jakiś Bantam, a w

szybko jadący samochód trudno trafić. Projekt swój podałem pod rozwagę obojczych. Nikt nie namawiał, nikt nie odradzał. W takich wypadkach trzeba decydować samemu. Uznano jednak, że pomysł nie jest zły, niektórzy tak robili, choć właśnie na polance zginął por. Las.

Wyskoczyłem ze schronu i biegiem na ścieżkę!

— Udało się! Nie strzelali!

Za skałą wyczołgałem chwilę. Tu spotkałem żołnierzy, którzy podciągali ku pozycjom. Teraz oni będą nacierać. Nie wiedzą jeszcze kiedy to nastąpi, ale pójdą. Wiedzą o tym i chcą iść! To raz musi się skończyć. Tymczasem czekają na dalsze rozkazy. Patrzą na kolejkę rannych i zabitych, znoszonych z góry. Patrzą zimnym wzrokiem i zacinają zęby. Oni dojdą, muszą dojechać — inaczej być nie może. Gdyby im się nie udało... Nie, to niemożliwe. Dojdą!

Wieczorem znowu grzmocili na Miskę i muły. W ogniu tym znowu pracowali ludzie przy wyładowaniu. Poświęcenie ich sprawiło, że żołnierz miał wszystko, co było potrzebne, to oni w znacznej mierze przyczynili się do tego, że w dniu 18 maja 1944 na gruzach Monte Cassino powiewał sztandar polski.

POLACY W KRÓLESTWIE HORUSA

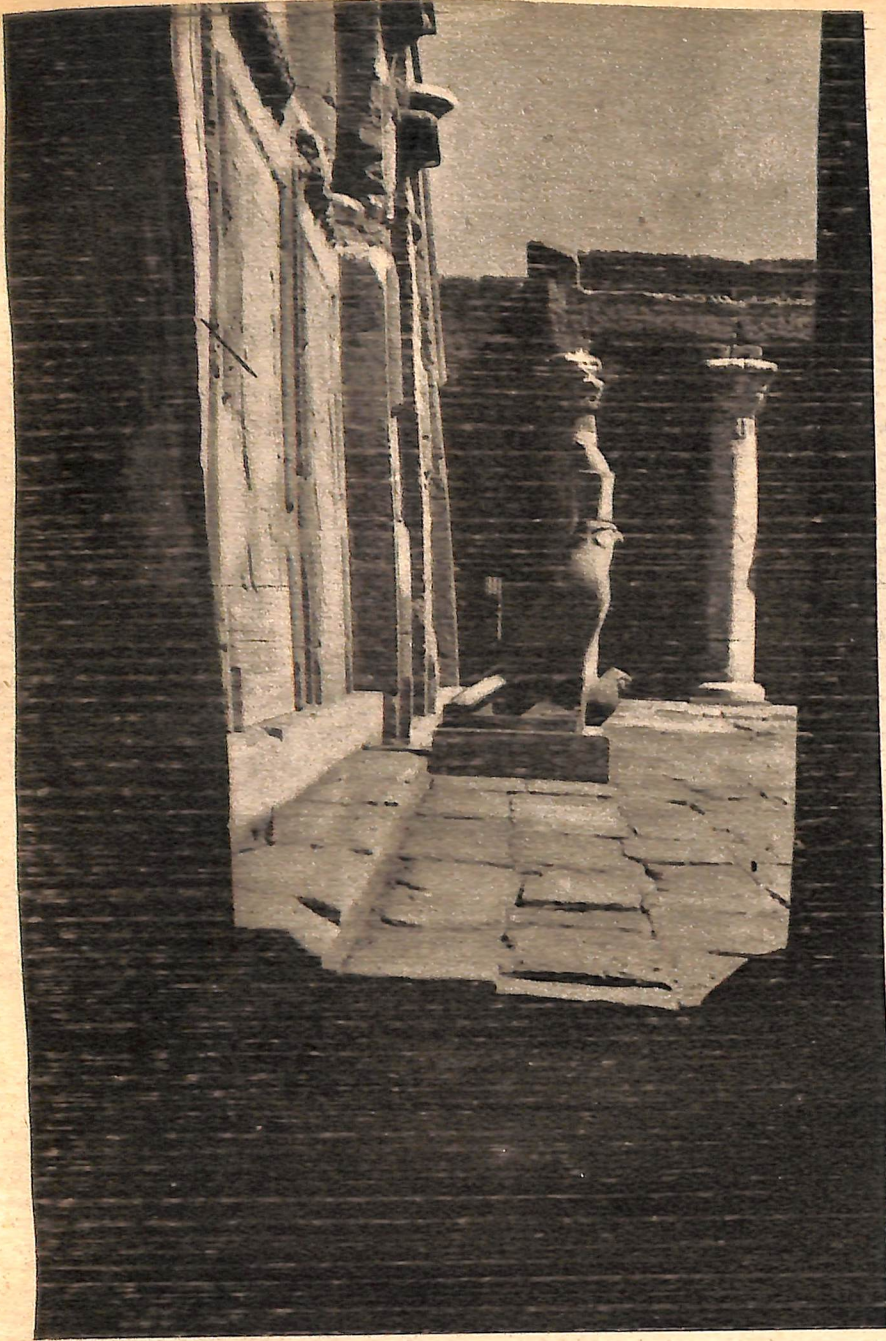
Ruiny Apollonopolis Magna



Co jakiś czas — nawet teraz w okresie wojennym — prasa donosi o odkopaniu przez uczonych archeologów coraz to nowych, cennych zabytków starożytnego Egiptu. Zarówno szaro-brunatna gleba Deltę i Doliny Nilu, jak piaski pustyni po obu stronach są niewyczerpaną kopalnią pamiątek starożytnej cywilizacji. Zdawałoby się, że po tylu dziesiątkach lat badań — od wyprawy Bonapartego w r. 1798 zaczynając — możliwości nowych, poważnych odkryć powinny się oddawna wyczerpać, a jednak tak nie jest. Ziemia egipska ukrywa jeszcze wiele niespodzianek i tajemnic, a nawet skarbów. Dla archeologów zresztą złoto i srebro nie przedstawiają największej wartości, czasem mają wagę znacznie mniejszą, niż papyruse lub gliniane skorupy z napisami (ostraka), zawierające listy, dokumenty urzędowe, rachunki itp., mówiące o życiu i obyczajach starożytnych mieszkańców kraju oraz ich urzędzeniach państwowych.

W badaniach skarbów Egiptu tradycyjnie przodowali Francuzi. Właśnie Francuzowi, Champollionowi, zawdzięczamy odczytanie hieroglifów, a inny jego rodak, Mariette Pasza, założył Muzeum Egipskie. Nie brakło jednak także uczonych wielu innych narodowości, a między nimi, w ostatnich czasach przed wojną, również Polaków.

W roku 1936 kilku profesorów polskich postanowiło wysłać misję archeologiczną do Egiptu, która by dostarczyła znalezisk do zbiorów Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego. Sprawa nie była prosta ze względu na wielką trudność uzyskania koncesji na prowadzenie robót wykopaliskowych, ostatecznie pokonano jednak przeszkody przez zawarcie umowy z francuskim Instytutem Archeologii Wschodniej w Kairze. W roku 1937 pierwsza misja polska w osobach profesorów K. Michałowskiego i J. Manteuffla przybyła do Egiptu, aby następnie w towarzystwie uczonych francuskich wyjechać do Edfu, miejscowości położonej o 100 kilometrów na południe od Luksoru. Ta pierwsza ekspedycja polsko-francuska pozostawała pod kierownictwem M. Bruyère z Instytutu Francuskiego, terenem zaś badań miał być „kom” (w górnogipskiej gwarze — „pagórek”) Edfu, zawierający ruiny starożytnego miasta Apollonopolis Magna. Prócz tego prowadzono prace wykopaliskowe na nekropoli u podnóża „komu”, odkrywając szereg murowanych grobow-



Posąg Jastrzębia-Horusa na dziedzińcu świątyni



Pylon świątyni Horusa w Edfu



„Kom” Edfu wygląda jak wulkan...

ców zwanych „mastaba” z okresu „starego państwa”. Do odkopywania zabytków członkowie ekspedycji wynajęli pięćdziesięciu kilku robotników — Fellahów oraz trzykrotnie większą liczbę chłopców do wynoszenia wydobytej ziemi. Nadzór nad robotnikami miał „rais” Hamida Suliman Faiz, Arab z plemienia Nagama, zamieszkałego w wiosce Nazlet Es-Samman pod Piramidami i od całych dziesięcioleci trudniącego się przewodnictwem i pracami przy wykopaliskach. Raisowi Hamidzie pomagał syn, dzielny chłopak imieniem Mahdi, który dzięki swej energii i inteligencji stał się wkrótce ulubieńcem wzylistkich członków misji.

Paromiesięczna kampania w r. 1937 była dopiero początkiem. Profesorowie Michałowski i Manteuffel pracowali jeszcze dwukrotnie w latach następnych, pierwszy już w charakterze szefa ekspedycji. Towarzyszyli im wtedy również pani Manteuffel oraz architektki Arnold Czeczott (w r. 1938) i T. Górski (w r. 1939), którzy mieli robić pomiary i zdejmować plany odkopywanych budowli. Ze strony francuskiej w wyprawach uczestniczyli Sainte Fare Garnot i De Linye oraz panna Desroches. Odkryciem w r. 1938 na nekropolii znaczną liczbę szkieletów ludzkich, prof. Michałowski zapewnił sobie w następnej kampanii współpracę antropologa Zejmō-Zejmisa, który zajął się nie tylko zbadaniem szczątków starożytnych Egipcjan, ale także naukowymi pomiarami żywych Fellahów, stwierdzając, że są oni potomkami w prostej linii poddanych Faraonów, których cechy rasowe w pełni zachowali.

W ciągu tych trzech dorocznych kampanij uczeni polscy odsłoniли całość ruin ptolemejskiego miasta Apollonopolis Magna, przekonywując się, że w starożytności musiało być ono ważnym punktem obronnym południowych rubieży państwa egipskiego, mającym w drugim wieku garnizon złożony z Egipcjan, w czasach zaś późniejszych — z wojsk rzymskich. Odnaleziono bardzo ciekawe papyruse i ostraki, rzucające światło na ówczesne stosunki i warunki życia, piękne naczynia alabastrowe, a także steli grobowe. Z wielkiej liczby wyrobów ceramicznych tylko część uznano za godną zabrania. Wiele z tych przedmiotów udało się pozyskać dla Uniwersytetu J. P.

W roku 1938 spędziłem kilka dni na terenie robót, w gościnie u członków ekspedycji, obozujących pod namiotami u podnóża murów świątyni w Edfu.

Romantyczny to zakątek Górnego Egiptu: gaje palmowe rozciągają się wzdłuż Nilu, ukrywając w sobie szare wioski Fellahów, widnieją w głębi pola zielone i tak płaskie jak stół bilardowy, obrze-

żone złotawym łańcuchem wzgórz pustynnych, jak maleńka biała plamka błyszczą w płomiennym słońcu kopułka małego klasztoru koptyjskiego.

Samo miasteczko Edfu, o krętych uliczkach i szarych domach z nilowej cegły, nie przedstawia nic specjalnie ciekawego, podobne do tyłu innych miejscowości Górnego Egiptu. Jednak tuż poza nim wznosi się piękna i doskonale zachowana świątynia ognistopiórego boga słońca — Jastrzębia Horusa, pochodząca z drugiego wieku przed Chrystusem. Nad otaczającymi ją pomniejszymi ruinami wysoko wznosi się wielki, podwójny pylon, ozdobiony płaskorzeźbami, wyobrażającymi faraona dzierżącego za czupryny cały pęczek wrogów oraz przyglądających się mu jastrzębiogłowego boga Horusa i jego matkę Hathor. Pylon ten widziany jest z daleka, z odległości wielu

kilometrów, podobny do złotego zęba sterczącego z zielonej równiny.

Poza świątynią, przylegając prawie do jej obszaru, wznosi się wyniosłe, podłużne wzgórze jednostajnej ciemno-szarej, prawie czarnej barwy, nagie i grobowo ponure. To właśnie „kom” Edfu, zawierający resztki miasta Apollonopolis, tak nazwanego od jego opiekuńczego bóstwa, które w ptolemejskiej epoce utożsamiano z Horusem.

Od wczesnego rana „kom” zdawał się dymić jak wulkan. To sypki „sebbach” — muł z rozpadłych, suszonych cegieł, pomieszany ze szczątkami organicznymi, łatwo wzbijający się w tumany dławiącego kurzu — tak unosił się w powietrzu. Poprzez ciemną jego chmurę widać było niebiesko ubrane figurki robotników, sunących sznurem z koszami, pełnymi kamieni na głowach. Czasem mignął korkowy

kask archeologa, czasem zabłysło żelazce kiloła. Niekiedy pieśń monotonna i przeciągła zrywała się w kłębowski pyłu. Jeden z robotników śpiewał pojedynczy wiersz, a potem cały chór podejmował refren, miarowo skandując słowa:

*Kam leila u kam jaum
Saba leila, sabat ajjam
Kam leila u kam jaaum
U ana sairan...*

*(Ileż dni, ileż nocy
Siedem dni, siedem nocy
Do ciebie idę,
Stopy moje zmęczone,
Ileż dni, ileż nocy...)*

Ta pieśń Fellahów do dziś brzmi w moich uszach...

Witold Rajkowski

Prace wykopaliskowe na nekropolii



Co po kapitulacji?

Wzajemnie zaktualizowała problem niemiecki. Armie Hitlera bite są na wszystkich frontach, a przewaga Sprzymierzonych jest tak przygniatająca, że klęska militarna Trzeciej Rzeszy jest już tylko kwestią czasu, krótkiego czasu. I dziś nie będzie paradoksem stwierdzenie, że łatwiej jest Niemcy pobić, niż wypracować jasny, konkretny plan, co z pobitymi Niemcami zrobić.

Zaroiło się od wydawnictw na tematy niemieckie. Powstały całe grupy wydawnicze, komitety, związki. Hutchinson et Co. wydał serię książek i broszur („Stresemann”, K. F. Bieligk, „Hitlers New, Kaisers Old Order”, Curt Geyer itd) pod ogólną nazwą „Fight for Freedom Publications”. Inna grupa, to Karl Ausch, Julius Brauntahl, Hans Vogel i in. Z tymi panami związany jest J. F. Horrabin, autor Atlasu Problemów Powojennych, któremu poświęciliśmy felieton w numerze 12(31) „Parady”. Ożywił się Niemcy w Stanach Zjednoczonych, uaktywnił się Thomas Mann — nie brak „manifestów”, „deklaracji” i „protestów”. Ukoronowaniem tej koniunktury jest lansowana wiadomość o „ruchu podziemnym” w Rzeszy. Ba, są nawet tacy, którzy widzieli (?) „nielegalną” antyhitlerowską „Frankfurter Zeitung”, przeszmuglowaną przez Szwajcarię. Jak tak dalej pójdzie, to niebawem dowiemy się o oddziałach niemieckich Maquis.

Pomijając prasę, gdzie mamy cały wachlarz wypowiedzi na tematy niemieckie, ostatnia dwudniowa dyskusja w Izbie Gmin nad zagadnieniami polityki zagranicznej przyniosła gamę wariantów w ocenie problemu niemieckiego. Sprawa Niemiec jest kluczowa i trudna. W obecnej sytuacji można śmiało zaryzykować efektowne powiedzenie, że armie sojusznicy szybciej zwyciężają, niż sprzymierzeni politycy pracują... Fakt, że pogląd na problem niemiecki nie jest jeszcze wykrystalizowany w szczegółach, stwarza pozory koniunktury dla tzw. „dobrych Niemców” wszelkich grup i odcieni.

Na poletku „dobro-niemieckim” obserwujemy interesujące fakty. I tak np. „The Manchester Guardian” z dnia 20 maja br. zamieścił deklarację, podpisaną przez szereg socjalistów, nie tylko Niemców. Między innymi podpisali ją Victor Gollancz, J. F. Horrabin, H. J. Laski i inni. Autorzy owej deklaracji wypowiadają się za zastosowaniem w całej pełni Karty Atlantyckiej w odniesieniu do Niemiec. Równocześnie protestują przed przyłączeniem do Polski Prus Wschodnich, Śląska i Gdańska. Pomijamy długi i wzniosły wywód, który ma przekonać czytelnika, że biedne Niemcy winny być po tej wojnie traktowane na równi z narodami sojusznicznymi. Bardziej interesującym jest fakt, że wielu panów z tej grupy odznacza się wielkimi sympatiami dla Rosji Sowieckiej. I tak np. ów J. F. Horrabin w cytowanym Atlasie Problemów Powojennych wywianował Związek Sowiecki połową Polski i wszystkimi tymi ziemiami i krajami, o jakich kiedykolwiek zamierzono w Moskwie, a więc Litwą, Łotwą, Estonią, Finlandią i na południu Besarabią. Trudno zatem o większy entuzjazm dla imperialistycznych celów polityki sowieckiej. Lecz to wszystko nie przydało się na nic panu Horrabinowi i jego grupie. Radio Moskwa (jak podaje „World Press Review” z 17 czerwca br.) w specjalnym komunikacie zajęło bardzo krytyczne stanowisko względem deklaracji, ogłoszonej na łamach „Manchester Guardian”. Pan Horrabin w nagrodę za swój entuzjazm i szczodrobliwość wobec Związku Sowieckiego dowiedział się, że jest „pachołkiem niemieckiego imperializmu” w „todze obrońcy Karty Atlantyckiej”. Dowiedział się następnie, że jest „zwolennikiem polityki monachijskiej” i że cała deklaracja „śmierdzi na miłą” chęcią układów z napastnikami.

A więc coś tu nie gra, Mister Horra-

bin? Przyczyny takiego stanowiska Rosji są jasne. Związek Sowiecki nie dyskutuje już na tematy niemieckie i on jeden z państw obozu po tej stronie barykady posiada wypracowany od dawna plan w odniesieniu do Niemiec i w stosunku do całej Europy. Rosja poza tym posiada swoich własnych „dobrych”, Niemców i tylko tych, a nie żadnych innych uważa za... patriotów. Sprawa t. zw. rekompensaty na zachodzie (Prusy Wschodnie i Śląsk) nie jest inicjatywą angielską, lecz sowiecką i dlatego „patrioci” niemieccy, choć milcząc, musieli się z tym projektem godzić. Co więcej, gdy sprawa ta wypłynęła po raz pierwszy, londyńscy „dobrzy” Niemcy pod wpływem niemieckich komunistów wstrzymali się od protestu. Wreszcie londyński komitet „dobro-niemiecki” rozwiązano i założono nowy w Stanach Zjednoczonych.

Zachowanie komunistów niemieckich można rozmaicie komentować. Najprawdopodobniej mieli oni zapewnienia z Moskwy, że sprawa rekompensaty jest tylko manewrem taktycznym i że chodzi w tym wypadku nie tyle o pokrzywdzenie przyszłych „demokratycznych” Niemiec, ile o zilustrowanie polskiego uporu i niechęci do porozumienia się z Rosją. Nikt jednak nie może się łudzić, że Polacy odrzucając zasadę rekompensaty, rezygnują ze swych praw do Prus Wsch, czy Śląska. Nie mniej w ówczesnym układzie politycznym taka propozycja sowiecka dokumentowała na zewnątrz dobrą rzekomo wolę Moskwy w stosunku do Polski.

Jest rzeczą uderzającą, że niemal wszystkie ugrupowania „dobrych” Niemców wykazują wielkie sympatie prosowieckie. Gdy czyta się ostatnie artykuły Tomasza Manna w prasie amerykańskiej, owe liczne studia nad polityką Niemiec od Stresemanna po galerię hitlerowskich generałów, wreszcie pamiętniki i wspomnienia emigrantów z Rzeszy — trudno oprzeć się wrzeniu, że „dobrzy” Niemcy w poszukiwaniu już dziś nowej legendy o „Dolchstoß’ie” wracają do tezy Bismarcka głoszącej, że Niemcy nie mogą wygrać żadnej wojny przeciw koalicji, w której skład wchodzi Rosja.

„Bezwarunkowa kapitulacja” — oto formuła, która na razie zamyka i wyczerpuje stanowisko obu potęg anglosaskich w stosunku do Niemiec. Ale co po kapitulacji? Na ten temat ukazuje się codziennie kilkanaście artykułów w olbrzymiej prasie angielsko-języcznej. Omawia się systemy odszkodowań, rozważa się zagadnienie internacjonalizacji przemysłu niemieckiego — innych interesuje problem reedukacji narodu niemieckiego. Rozpiętość wyrażanych sądów i opinii jest bardzo znaczna. Jeżeli porównamy np. rozważania korespondenta dyplomatycznego „The Manchester Guardian” (Control of German Industry) z opiniami członka Izby Gmin Mr. Cary — to przekonamy się, jak różnie ludzie pojmują rolę Niemiec w świecie powojennym. Interującym jest fakt, że zagadnienie niemieckie pojawia się niemal stale jako problem izolowany, stanowiący niejako zamkniętą w sobie całość. Jest to nawyk strategicznego myślenia, który przedostał się do polityki. Jak długo bowiem jest wojna, problem jest prosty: są Niemcy, których należy pobić. Po kapitulacji nie będzie już Niemiec, będzie natomiast Europa. Większość autorów, omawiających zagadnienie niemieckie popełnia ten błąd: rozpatruje sprawę Niemiec, Niemiec jako takich. Zagadnienie należy odwrócić. Jest problem Europy, którego jedną z funkcji są Niemcy. To zupełnie

tak, jakby ktoś do walki z cholera zabrał się z zamiarem zwalczania samego zarazka choroby. Zarazę zwalczyć można jedynie przez sanitarne zorganizowanie zagrożonego epidemią rejonu i w ten sposób uniemożliwić zarazie możliwość atakowania ludzi. Nie można 70 milionów Niemców wytruć, nie można starego narodu reedukować, przemienić w spokojnych Szwedów, czy Duńczyków. Takich freblówek dla narodów nie ma i zapewne nie będzie. Dyskusja musi się oprzeć na innym założeniu: trzeba wprzód zmienić Europę, aby móc zmienić Niemców. Reorganizacja kontynentu jest jedyną drogą, wiodącą do ostatecznego rozwiązania problemu niemieckiego.

Cennymi są studia i dyskusje nad zagadnieniami czy to odszkodowań, czy decentralizacji przemysłu Niemiec, ale napewno ważniejszymi praktycznie są pozytywne środki. Negatywnymi są te wszystkie, które zmierzają do osłabienia pokonanego napastnika — pozytywnymi będą te, których celem będzie wzmocnienie potencjału obronnego państw, będących stale przedmiotem agresji niemieckiej.

Bezpieczeństwo międzynarodowe zorganizowane po tamtej wojnie w oparciu o Ligę Narodów — zbankrutowało. Jak słusznie stwierdził, omawiając to zagadnienie, minister Eden, poczucie ligowe było zbyt słabe, a zainteresowanie sprawami Ligi zbyt nikłe. W sumie Niemcy znaleźli na kontynencie warunki sprzyjające ich agresywnym zamiarom. Obecnie wielu autorów sądzi, że nowa Liga Narodów, w której decydującą rolę grałyby cztery mocarstwa (W. Brytania, Rosja, St. Zjednoczone i Chiny), wykazałaby większą sprężystość i nie wpadłaby w dawne błędy. Nie jesteśmy przeciwnikami żadnych wyższych form organizacji międzynarodowej, czy nawet światowej. Polska może bardziej, niż inne państwa, interesuje się tym zagadnieniem. Z drugiej jednak strony Polska ma więcej danych, aby dokładnie pamiętać historię ostatnich lat. Nadrenia — Abisynia — Sudey — Monachium. A w antraktach: Kłajpeda i Austria. Wniosek, jaki narzuca się z całą logiką faktów, należy sformułować następująco: odbudowa bezpieczeństwa międzynarodowego winna iść po dwóch torach. W kierunku wzmocnienia tych, którzy byli stale przedmiotem agresji oraz w kierunku organizowania doskonalszych form bezpieczeństwa międzynarodowego.

Jeżeli pragniemy uniknąć błędów teoretyków wersalskich, to musimy rozważyć problem Niemiec z mapą Europy przed oczyma. Należy pamiętać i o tym, że pokój i przyszłość organizacji międzynarodowych zależy w pierwszym rzędzie od likwidacji przyczyn, które spowodowały dwie pierwsze wojny światowe. Organizacje międzynarodowe, jak Liga Narodów, czy rada światowa, funkcjonować mogą tylko w warunkach normalnych. Kto wie, czy gdyby po poprzedniej wojnie zorganizowano inaczej, t. zn. lepiej, kontynent europejski, czy Liga Narodów w pełni nie zdałaby egzaminu. Projektując organizacje międzynarodowe należy w pierwszej linii stworzyć dla tych organizacji normalne warunki rozwoju. Przez normalne warunki rozumiemy zdrowy układ sił na kontynencie, odpowiadający zasadom równowagi europejskiej. Przyszłych Niemiec nie można projektować w próżni, a tylko w ramach koncertu państw kontynentu.

Jest ważnym, żeby Niemcy ponieśli zasłużoną karę, jest ważnym, żeby nie mieli możliwości materialnych zmontowania powtórnie takiej maszyny wojennej, jak dokonali tego po klęsce w roku

1918 — lecz ważniejszym bodaj jest, aby państwa, które były przedmiotem ich agresji, wyszły z tej wojny wzmocnione. Silnie wzmocnione. W pierwszym rzędzie należałoby wzmocnić geopolityczną sytuację Polski przez zlikwidowanie absurdalnych enklaw Prus Wschodnich i Gdańska. To samo dotyczy Śląska. Drugim etapem, który dopiero w pełni przywróciłby równowagę Europie — winno być zorganizowanie krajów Międzyczłonu. Ten szeroki pas ziem, który biegnie od Gdańska ku rumuńskim wybrzeżom czarnomorskim, jest stałym polem bitwy, poligonem walk o panowanie nad Europą. W tym pasie kluczowe stanowisko zajmuje Polska, która nie chce być ani niemiecka, ani rosyjska. Istotą Europy jest jej szarmonizowana, zrównoważona politycznie różnorodność — antytezą Europy jest panowanie jednego mocarstwa nad kontynentem. Jeżeli Europa ma istnieć, to jej odbudowa musi się zacząć od odnowienia jej najżywoźniejszego nerwu, który biegnie od Bałtyku ku Morzu Czarnemu, odgryzając Rosję od Niemiec.

Zadanie jest trudne — napewno bardzo trudne. Trzeba jednak zdobyć się na odwagę logicznego myślenia. Albo na kontynencie zostanie stworzona realna równowaga sił, przy czym państwa zwycięskie poprą zorganizowanie krajów Międzyczłonu — albo pokój będzie tylko zawieszeniem broni i bój o hegemonię nad Europą podjęty zostanie po raz trzeci. Najmądrzej obmyślana Liga Narodów, rada świata, czy jakkolwiek inna instytucja międzynarodowa nie zapobiegą wojnie, gdy przyszyły układ polityczny będzie krył w sobie ekspozycję konfliktów. Higiena jest dobra dla ludzi zdrowych, żyjących w normalnych warunkach. Ludzie chorzy potrzebują chirurgów.

Dlatego rozważając dziś problem: jakie będą powojenne Niemcy — trzeba wprzód postawić pytanie: czy będzie Europa?

Wojna ta wprowadziła wiele kardynalnych zmian. Świat się zmniejszył, a fakt ten pociągnął za sobą liczne konsekwencje polityczne. Upadły dwa wielkie mity: izolacja atlantycka Stanów Zjednoczonych i wyspiarskość Anglii. Anglia — nie jest to dziś paradoksem — przy całym swym charakterze morskim jest państwem kontynentalnym, jedną z potęg kontynentalnej Europy. Dziś już nikt nie powie, że z Calais do Dovru jest 22 mile, natomiast każdy stwierdzi, że jest zaledwie 3 minuty lotu.

Jeżeli w okresie wojen napoleońskich Anglia walczyła przeciw Francji tylko dlatego, aby nie dopuścić do hegemonii Napoleona w Europie, widząc w tym niebezpieczeństwo śmiertelne dla siebie samej, jeżeli w imię tej samej zasady politycznej podjęła dwie wojny przeciw Niemcom, to ileż aktualniejszym jest dziś ten problem, gdy wyspy brytyjskie stają się coraz bliższe kontynentowi.

Era lotnicza, której zaledwie brzask oglądamy — spowodowała poważne zmiany w charakterystyce geopolitycznej państw. Anglia po tej wojnie będzie znacznie silniej związana z Europą, niż kiedykolwiek przedtem w swych dziejach. I dlatego, jeżeli wojna ta ma być przez Anglię wygrana, musi przynieść pełną realizację klasycznego, brytyjskiego, politycznego postulatów: Europa musi odzyskać prawdziwą wolność. W dzisiejszej epoce ten, kto opanowałby Europę, opanowałby i Anglię. Oto dlaczego wolne narody Europy, walczące przeciwko agresji i imperializmowi, widzą w Anglii sojusznika na dziś, a może i na jutro.

Juliusz Miroszewski

MATKA

Wielka palma przy końcu ulicy Soliman Pasza jest punktem orientacyjnym, stąd kilkadziesiąt kroków do Greka. Tak określają jego położenie lotnicy polscy w Londynie, według palmy kierowali się nasi koledzy, żołnierze polscy przybywający do Kairu z piaszczystego „Zdroju”. Popularność niepozornej knajpy nie wynikająca bynajmniej z nie bardzo czystego wnętrza (przecież to Kair!), czy przelicznej rodziny nieskazitelnie czarnych kotów, jest miarą doskonałości ryby gotowanej i sznycla, sprawności Janniego, który usługuje tutaj już lat dwadzieścia, a w ogóle rodzinnej atmosfery tej półwiekowej restauracji. Chodzimy tu często, my Polacy wraz z innymi żołnierzami sojusznicznych wojsk, ale czujemy, że chociaż jesteśmy już uznani za swoich, w niczym nie naruszamy tego odrębnego świata, jaki tworzą stali bywalcy.

Wieczorami schodzimy się tutaj z Julkiem i jest nam dobrze. Rozpoczynamy od czarnego wina greckiego, uciekając tym łatwiej od czarnych myśli, a kończymy zawsze i nieodmiennie wspomnieniami z Polski. Jest nam dobrze z tym wydobywaniem minionych, czy jeszcze żywych zdarzeń i uczuć, nawet z tym rozdrapywaniem ran; jest dobrze i z tą naszą makabryczną młodością, która grzebie się w samej przeszłości, zaginionej przecież — na zawsze. W rozmowach takich zaglądamy w lata bardzo odległe, w zakątki Kraju najmniejsze, w myśli najbardziej utajone, dostrzegając wiele z tego, co się kiedyś minęło, odrzuciło, czy zgoła — sponiewierało.

Nierealnie, naprawdę jak z operetki wygląda wtedy kolorowy „esma” i dalekie, sztuczne wydają się postacie natrętnych sprzedawców, podsuwających serwetki, lusterka, pocztówki pornograficzne i małe pieski...

Ucieczka się udała, ucieczka z obcego do własnego świata.

Poczucie rzeczywistości przywraca mi szorstko, brutalnie — wąta, przygarbiona staruszka. Jest czarno, staromodnie

ubrana, siwa i bardzo sterana. Spod okularów rzuca trzęsącym wzrokiem, na ustach jej zjawia się i znika biedny uśmiech, raczej tylko skrzywienie. Wsuwa się nieśmiało, choć codziennie, nieśmiało też podsuwają jej drżące ręce garść losów, od stołu do stołu, bez słowa... Tylko ręce nas proszą, ręce samotnej starości.

Czy nie tak „zarabia”, podtrzymuje swe życie moja matka, w Kraju? Po wyrzuceniu przez Niemców, po opuszczeniu przytułku, strasznie samotna, a silna tylko nadzieją zobaczenia swych synów i śmierci nie tak samotnej...

W staruszce, która w Kairze sprzedaje losy, jest coś z matki, mojej a może i Twojej. Jest istotnie podobna. Uświadamiam to sobie z trudem, bo wojenne lata rozłąki, obfite jak nigdy w wydarzenia, w nowych ludzi, okrutnie szybko zacierają rysy twarzy osób, nawet najukochańszych. Inna, daleko głębsza i niemożliwa do zatarcia jest pamięć pieśczo-ty. Dlatego tak bolesny jest widok drżących rąk staruszki, tych rąk, które natychmiast wywołują całą przeszłość, przed oczy stawiając matkę, jej ręce miłości pełne.

Spracowane ręce podsuwają mi losy, usta staruszki poruszają się bezdźwięcznie. Losu nie biorę. Nie patrzę — nie mogę! — daję pieniądze, pospiesznie. Myśl o matce jest teraz bólem, boli też ten datek niby litościwy, ta jakaś opłata za przypomnienie, za pamięć obudzoną.

Nie wiem, nie pamiętam, jak wyglądała matka w moim najwcześniejszym dzieciństwie. Z beznamiętnej tu pamięci jeden tylko szczegół wyrasta tak wyraźnie, że wszystko przesłania: ręce matki. Widzę siebie dokładnie, jak jeżdżę na kucy, jak wyjeżdżam z Turku, przytrzymywany rękami matki, Dłgie, piękne i delikatne ręce, dające pieczętę i bezpieczeństwo, te same ręce, które później są przy mnie w radościach i smutkach, ręce już nie białe i delikatne, drżące coraz bardziej — z ciężkiej pracy, z trudnego, bardzo

trudnego życia, poświęconego nam, tylko nam.

Całowałem ręce matki i kochałem je, ale raczej bezmyślnie, jakby nigdy nie mogło być inaczej, jakby zawsze tak było i zostało. Dopiero w tej wojnie, dopiero w niezgrabnych literach chorą, udręczoną ręką matczyną stawianych, zobaczyłem treść jej całego życia, dopiero na obczyźnie, za późno, zrozumiałem w pełni prawdę — Matki. Mojej i Twojej.



Pierwsze książki z jej rąk odczytywałem, jej słowami pierwszy raz Kraj ojczysty nazwałem, jej oczami z obcego, wrogięgo Berlina Polskę oglądałem. Złego słowa nie usłyszałem nigdy, dobre zawsze. Niemal skąpa dla siebie, rozrzutna była dla nas — uczuciem, poświęceniem, ciężką pracą, mało widoczną. Dawała swym dzieciom wszystko, całą miłość. Odbierała daleko mniej, niż mogła oczekiwać. Widzę to dopiero dzisiaj z oddalenia tylu lat i tylu kilometrów, to czego nie mogę już cofnąć.

Pozostawiona w Kraju cierpliwie znosi wszystko: wyrzucenie z mieszkania, tu-

jącą, choroby, upokorzenia od wrogów i te najgorsze — od swoich, wreszcie i najgorsze zło — samotność. Nie skarży się, w listach spływających z Kraju na cierniste i krwawe drogi polskiego żołnierza, pisze o tym, że wierzy i czeka; tylko między wierszami wyczuć można płacz i niepokój, — „czy jeszcze Was ujrzę?”.

Napewno nie idealizuję jej. Taka jest nasza matka.

Czeka w Kraju i najlepiej ze wszystkich podtrzymuje istnienie narodu, umożliwia nasz powrót, abyśmy wrócić mieli do czegoś i kogoś. Matka chce doczekać się naszego powrotu, my pragniemy dożyć dnia, w którym ją znów zobaczymy. Na obcej i własnej ziemi giną i umierają ludzie, tu i tam na posterunku, z imieniem najbliższych na ustach. Żołnierze pod Cassino padali z okrzykiem „Mamo”, adres matki zostawiali na kartkach. We wszystkich listach z Kraju czytamy „matka”, a rozumiemy — „Polska”. Różnice są niewielkie, podobieństwo ogromne i dopiero podczas tej wojny całkowicie pojęte.

U Greka nic się nie zmieniło. Operetkowy „esma” bez zamówienia przynosi nam wino, Janni jest jak zawsze bez zarzutu, nie brak i pani z pieskiem, ani kotów czarnej, ciągle jeszcze nie pohafbionej rasy, a handlarze uliczni zjawiają się w kolejności przedziwnie niezmiennej. Jest też i staruszka z losami, podsuwanymi bez przekonania i bez nadziei. Jest wszystko tak samo.

Tylko nie u mnie.

Matka moja nie żyje.

Przecucia są kłamstwem. Umarła w Polsce — nie wiem jak i gdzie — w czasie, kiedy nie przeczuwałem takiej możliwości, w tym samym miesiącu, w którym pierwszy raz stanęła na mej drodze staruszka z losami. Dzisiaj patrzę na nią inaczej. Już bez bólu, a z żalem, że ona żyje, kiedy tamta najdroższa starość, odeszła tak źle, tak samotnie. Boli mnie nie tyle śmierć matki, uwalniająca od koszmarnych warunków vegetowania, ile jej ból, że zawiodła jedyną nadzieję i życie skończyło się starczym sieroctwem. Miłość bez odpłaty.

Z rąk staruszki samotnej w Kairze wezmę los.

Wyciągnę los.

Podporucznik J. Siemek — poległ

„...Obładowani idziemy ścieżką w górę. Teraz pociski przelatują ze świstem ponad nami i wybuchają w dole... Ciemno. Niepewnie stawiam nogi. Trudno utrzymać tempo poprzednika. Strzał, syk — i w świetle rakiety stanęły blisko nieruchome drzewa, jar cały i klasztor. Tak blisko ruiny klasztoru! Ktoś padł, ktoś przysiadł...”

„...Mijają się nad nami pociski obu stron. Jedne wyją, drugie szumią głośno, a ziemia drży. W powietrzu mieszanina głosów: wybuchy i świsty, wyčia i syki, dudnienie, szumy i stęknięcia, pomruki i szelest trzęsących się od podmuchów drzew... Co kilka minut pocisk. Wszystkie padają na skarpe. Wyglądam i słucham, czy ktoś nie woła, bo pociski układają się w rejonach drużyn...”

Tak pisał w swym reportażu, zamieszczonym w jednym z poprzednich numerów „Parady” — Józef Siemek, podporucznik rezerwy, intelektualista i polski oficer liniowy.

Pisał swój „reportaż własny” nie jako utwór literacki, czy felieton, lub impresję przeznaczoną do druku gwoli rozrywki znudzonego czytelnika, ale

zwyczajnie i po prostu, jak najserdeczniejszy notatnik, prowadzony dla samego siebie, którego się nie okłamuje, jak najprawdziwszy dokument historii walk polskiej armii i niefałszowany opis jednego z tysięcy dowodów bezimiennego bohaterstwa polskiego żołnierza. Podporucznik Siemek, nasz Kolega-współpracownik „Parady” nie był bowiem literatem, acz piękno przyrody, budzącej się w pierwszych blaskach słonecznej wiosny odczuwał głęboko, wrażliwością najszczerzego poety. Reportaż swój pisał nie w bezpiecznym zaciszu redakcyjnego gabinetu, lecz do słownie — na pierwszej linii pod Cassino. I dlatego pamiętnik jego własnych przeżyć, ujęty w zwykłe, niewyszukane słowa, bez pretensji do literatury, tchnąc niezaprzeczonym autentyzmem i bezpośredniością doznania, przemawia silniej, niżli wszelkie, pełne emfazy i górnolotnych, a pustych zwrotów opisy zastyszanych opowieści. Choćby wyszły z pod pióra najbardziej uznanych i okrzyczanych talentów.

Żołnierz nie lubi sztucznego patosu i z łatwością odróżnia każdą fałszywą nutę w kierowanych doń słowach. W „Paradzie” zatem, która przede wszystkim jest pismem dla wojska, drukują swe utwory nie widzowie, lecz najbardziej czynni, a nieraz niestety jakże tragiczni aktorzy włoskiego teatru wojny. Korespondenci „Parady” w listach dołączanych do swych artykułów, często naiwnie przepraszają za nieczytelność manuskryptu, gdyż pisząc w polu nie posiadają nawet stołu, ani atra-

mentu. Inni nadsyłają fotografie z akcji bojowej, robione w ogniu walki z narażeniem życia. Jeszcze inni nadają swe korespondencje ze szpitali Czerwonego Krzyża, gdzie leżą ranni.

Reportaż swój pod tytułem: „Na pierwszej linii pod Cassino”, autor uzupełnił szeregiem własnych zdjęć. Na jednym z nich, przedstawiającym grupę żołnierzy wraz z dowódcą oznaczył siebie, kreśląc nad swą głową maty, czarny krzyżyk. Nie przeczuwał, że stanie się to dlań jak gdyby fatalną wróżbą. Żaden z czytelników, przerzu-

cując stronicę „Parady” z pewnością nie pomyślał, że może w tej chwili już nie żyje autor tego reportażu, w którym pisał:

„...—Uwaga! Spodziewane jest natarcie nieprzyjaciela — wiadomość z bannu. Więc wszyscy na stanowiska i czuwamy do świtu. Co nam jutro przyniesie?...”

JUTRO przyniosło śmierć ś. p. podporucznika Józefa Siemka na polu chwały, w natarciu pod Cassino.

Tadeusz Witlin



W pierwszym szeregu, drugi z lewej, ś. p. ppor. Józef Siemek

OD REDAKCJI

Pani H. Naus (Kair) przekazała redakcji „Parady” Ł. E. 50 — jako dar na rzecz rannych żołnierzy polskich z pod Cassino.

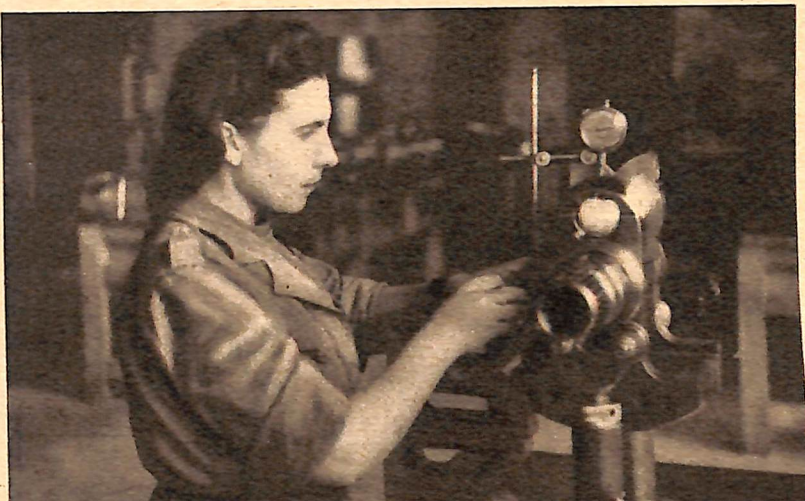


NIE „DZIEWCZYŃKA Z OKIENKA”

Dawniej żołnierze śpiewali o dziewczynce z okienka. Dziś jednym z największych przemysłów w Hollywood jest fabrykacja tzw. „pin up girl”. „To pin” znaczy przypiąć, przyspilić. Chodzi tu zatem o fotografie pięknych aktorek filmowych, które mogłyby zdobić namioty, schrony, pillboxy i unieść — choćby drukowany — uśmiech kobiety w szarżyżnę żołnierskiego dnia. O „dziewczynkę z okienka” jest trudno (np. w dżunglach Burmy), a o „pin up girl” stosunkowo łatwo. Wszystkie angielskie i amerykańskie magazyny dla wojska przynoszą co tydzień po kilka takich „pin up girl'sów”. Ponieważ i nasi żołnierze radzi patrzą na miłe dziewczętko, reprodukowujemy dla nich kilka fotografii głośnych „pin up girl'sów”.

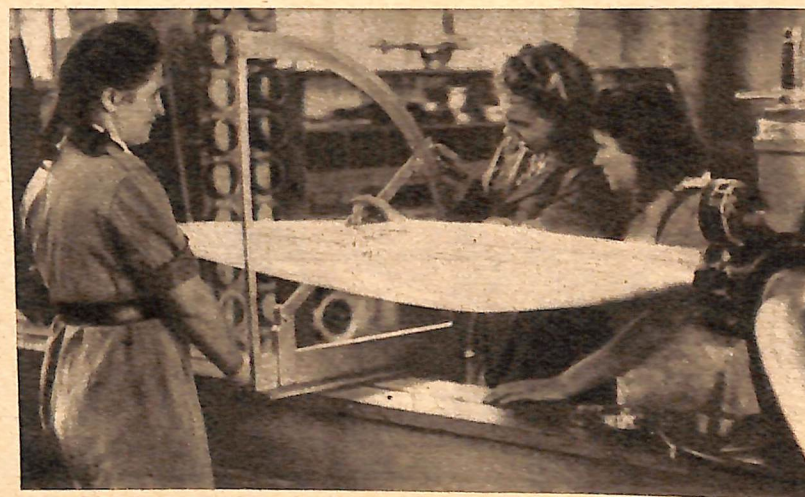


1. „Pin-up-girl” norweskich lotników
2. Ewelyn Dall
3. Phyllis Calvert, młoda gwiazda filmu amerykańskiego
4. Patricia Roc



Polki w warsztatach wojennych

Część Polek w Afryce Wschodniej wstąpiła do PSK i wyjechała do Anglii, część w inny sposób bierze udział w wojnie. Kilkaset dziewcząt polskich z różnych obozów uchodźczych przeszło specjalne przeszkolenie i dzisiaj pracuje już w warsztatach wojennych RAFu. Dziewczeta nasze pracują niemal we wszystkich działach: w elektrotechnicznym, hydraulicznym, w montowniach samochodowych i na lotniskach, przy sprawdzaniu samolotów przed startem i po locie, również przy kontroli spadochronów. Mają dzień wypełniony pracą, mają swój zarobek, a przede wszystkim poczucie rzetelnie spełnionego obowiązku wojennego.



- Str. 2: fot. „Parade”
 Str. 3, 4 i 5: fot. U.S. Of. of War Inf.
 Str. 5: fot. W. Domański
 Str. 6: fot. Ref. Kult. 3 D. S. K., inż. W. Ostrowski
 Str. 7: fot. U. S. Office of War Inform.
 Str. 8 i 9: fot. Szumański, W. Choma, F. Maliniak, Chruściel, inż. W. Ostrowski, J. Siemek
 Str. 10: fot. W. Choma, J. Romanowski
 Str. 10 i 11: fot. W. Rajkowski
 Str. 16: fot. U.S. Office of War Inform.

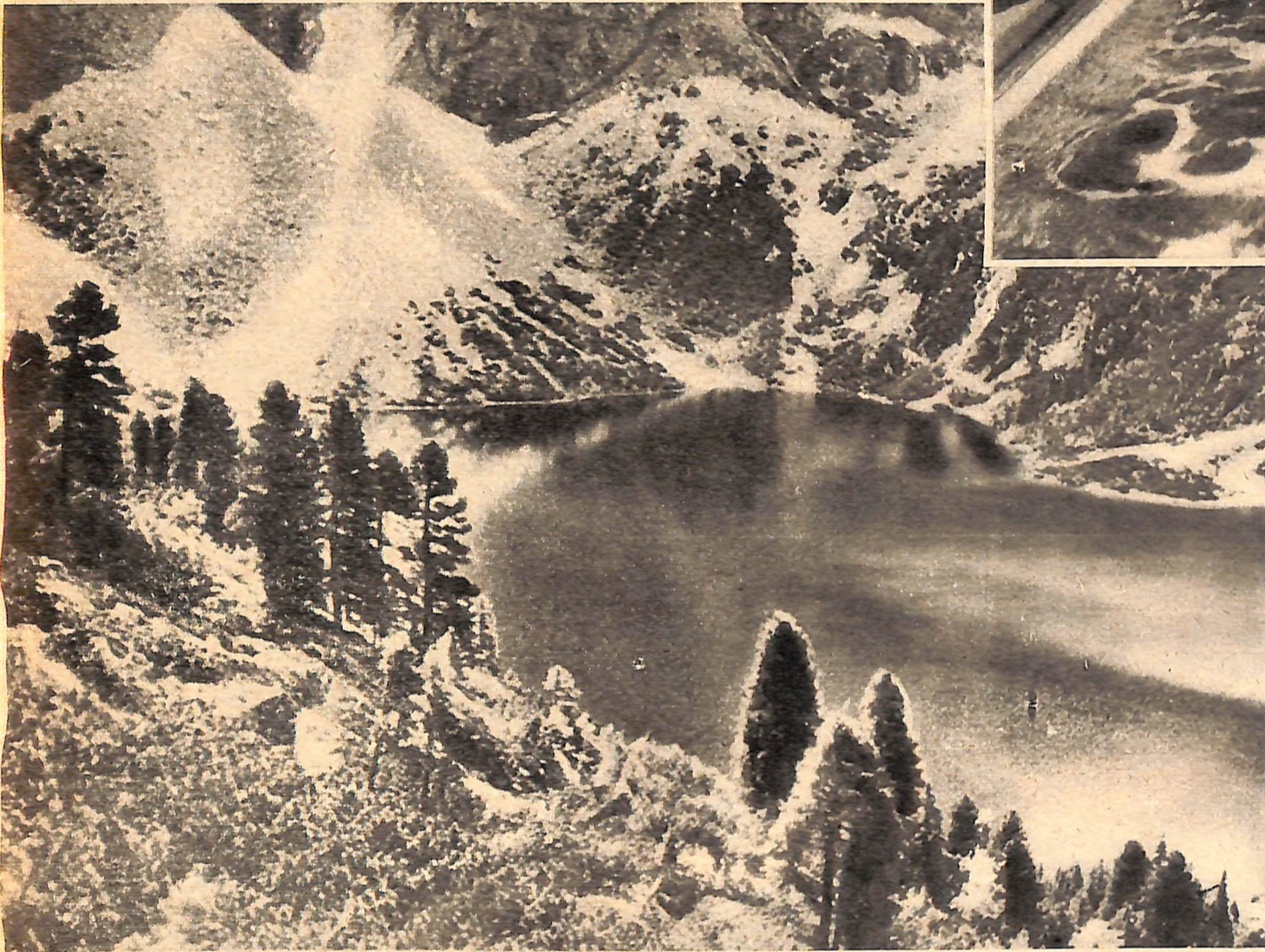
Układ graficzny: JERZY MŁODNICKI



Przy sterze



Na Bałtyku →



Morskie Oko w Tatrach

LATO W POLSCE

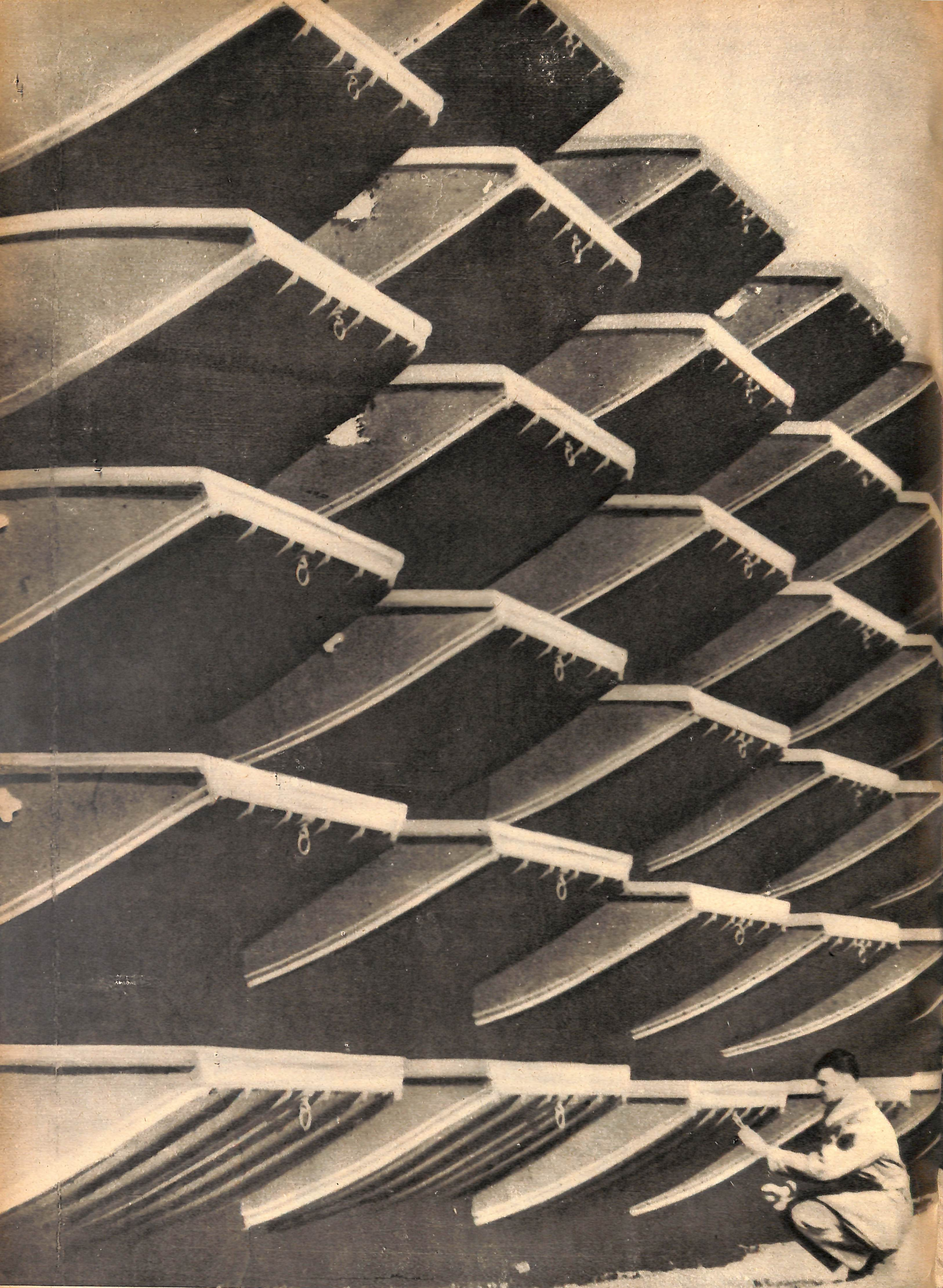
Wstuchajmy się we wspomnienia, wpatrujmy w obraz tęsknotą wyostrzony. Łany zboża wiatrem kołysane, zielone miedze dzikimi gruszami obsadzone, dźwięk kos i terkot młocarni, dojmujący szum boru sosnowego; ta bajeczna zieleń lasu liściastego i tak nadrzecznych, te brzozy białe i wierzby rosnące, jeziora i morze nasze... Nie widzieliśmy ich dawno, bardzo dawno. Każde lato, tak inne pod obcym niebem, na obcej ziemi, tak różne od naszego, stawia nam przed oczy najwyraźniejszy obraz tego lata, którego urok dopiero dzisiaj oceniamy należycie, — lata w Polsce.

Polesie ↓



Kraków ↓





INWAZYJNE MOSTY PONTONOWE